Numer 4 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 22 Stycznia 1928



ROLA

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Kalendarze już wyczerpane.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Matka.

— Syn pani co tylko rzucił we mnie kamieniem.
— Czy trafił?
— Nie.
— W takim razie to nie mój syn.



Kawa, czy...?

Pułkownik podczas rannej inspekcji:
— Może któryś ma zażalenie?
— Tak, panie pułkowniku! Proszę tego pokosztować.
— Co? Nie jadłem w życiu równie dobrej zupy.
— A kucharz to zwie kawą!



Zwierciadło.

Do osobnika, żyjącego w głuchym zakątku Południowej Afryki, zawitał wędrowiec, posiadający różne rzeczy, których stary farmer przedtem nigdy nie widział. Wśród nich znajdowało się zwierciadło.

— Skąd masz wizerunek mego ojca? — zapytał zdumiony farmer.

Wędrowiec nie dał żadnych objaśnień — lecz ofiarował mu lusterko. — Stało się ono najdroższym skarbem farmera. Codzień spoglądał na „wizerunek swego ojca w podarunku" — i ukrywał go starannie przed ludzkim wzrokiem.

Lecz pewnego dnia, niebacznie pozostawił w domu klucze. Żona jego, wiedziona kobiecą ciekawością, poczęła szukać i znalazła... zwierciadła.

Spojrzała w nie i wykrzyknęła z wściekłością:
— A więc to tę małpę tak ukrywa przedemną!...



Podobieństwo.

— To niemowlę podobne jest do ojca nadzwyczajnie, nieprawda?

— Oczywiście! Ma czerwony nos, robi awantury, gdy głodne i włosów na głowie nie posiada.



Uprzedziła.

— Drogi mój! — powiada narzeczona. — Gdy się jeno pobierzemy, będę dzieliła z tobą wszystkie twoje smutki i kłopoty.

— Nie mam, dzięki Bogu smutków ni kłopotów, na razie.

— To też właśnie powiedziałam... gdy się pobierzemy.

Numer 4. XI. Rok Kraków, dnia 22 Stycznia 1928



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

1863—1928.

Jakkolwiek już rok dziesiąty rozpoczął się naszej wolności i niepodległości, jakkolwiek cieszymy się pełnią praw i jesteśmy nie ostatnimi, ale jednymi z pierwszych pośród narodów świata, to przecież musimy się ciągle zwracać myślą do lat minionych i brać z nich przykład do utrwalenia naszej swobody, jaką Opatrzność nas obdarzyła. A cóż bardziej krzepiącego dla nas, jak wspominanie wielkich czynów praojców naszych, którymi sami siebie i cały naród okryli niespożytą chwałą.

W przeszłości naszej są chwile jasne, które rozradowanie w ciężkiej niewoli nam dawały, ale były i chwile smutne, które przygnębiająco działały na umysły nasze, a które jednak dawały nam hart do wytrwania nawet wśród najsroższych dni naszego życia niewolnego. Może do najboleśniejszych, a jednak najbardziej krzepiących podupadającego ducha polskiego były nasze powstania narodowe. Były bolesne, bo pomimo strat olbrzymich nie dały nam odzyskać niepodległości, ale były też i krzepiące, bośmy widzieli, że pomimo przemocy, jaka nas długie lata gnębiła, nie przestaliśmy być narodem żywym i nie przestaliśmy się upominać o prawa, jakie się nam słusznie należały.

Do takich wielkich chwil należało również powstanie styczniowe, jakie wybuchło w dniu 23 stycznia 1863 r., a więc obecnie równe 65 lat temu. Lata poprzedzające ten pamiętny rok, to był czas przed burzą. Po upadku powstnia w 1831 r. społeczeństwo polskie nie mogło przeboleć klęski, jaka je wówczas spotkała. Ale trudno było porywać się z motyką na słońce. Zaciskano zęby i czekano stosownej chwili.

Mijał rok za rokiem aż do 1863 roku. Coraz to duszniej było i ciężej. Zaczęto szemrać, a co niecierpliwsi wołali: „Chwyćmy za broń i albo uwolnijmy się, albo zgińmy, bo tak żyć dłużej nie można!" Nadaremnie rozważniejsi przestrzegali przed szalonym czynem, powiadając, żeśmy słabi i nieliczni. Odpowiadano im: „Tak! Zamało nas jest, aby zwyciężyć, ale dość, aby umrzeć za Ojczyznę!"

I jakoż dnia 23 stycznia 1863 r. wybuchło owo, daj Boże, może ostatnie powstanie polskie, które trwało cały rok. A straszny to był rok! Tysiące ludzi młodych i szlachetnych porzuciło domy i rodziny, chroniąc się po lasach i licho uzbrojone, licho odziane, nieraz głodne, prowadziło wojnę podjazdową z oddziałami rosyjskich wojsk. Ale tych wojsk napływało coraz więcej. Stawić im czoło było niepodobieństwem. Oddziały powstańców malały, jedni padali w bitwach, składając życie Ojczyźnie, drudzy rozprószeni i ranni szukali schronienia zagranicą, inni najnieszczęśliwsi dostawali się w ręce wroga i ginęli na szubienicach. Po miastach i wsiach zaczęły się straszne rządy. Sądy rosyjskie wieszały Polaków setkami, a tysiącami wysyłano na Sybir. Konfiskowano majątki. Burza szalała, niszczyła, paliła...

Aż stłumiono powstanie. Zwyciężyła siła nad prawem, zaczął się ucisk, który trwał przeszło 50 lat. A tymczasem rosły nowe pokolenia na ziemi użyźnionej bohaterską krwią naszych praojców. A myśl pokoleń tych krzepiła się niezapomnianemi czynami tych, którzy polegli na polu chwały, póki nie nadszedł rok 1914, póki na wezwanie duchowego potomka wielkich ojców naszych, Józefa Piłsudskiego, taka sama, jak w roku 1863 ogniem miłości Ojczyzny przepojona młodzież, nie chwyciłá znów za broń, aby jeszcze raz zmierzyć się z ciemięzcą narodu polskiego.

I ci, co krew swą przelewali pod Kielcami, czy Łowczówkiem, i ci, co życie swe dali koło Nadwórnej lub pod Rokitną, i ci co później obronili Lwów przed Ukraińcami, i ci, którzy zwycięsko zmierzyli się z nawałą bolszewicką nad Wisłą, lub zasłaniali piersią swą Śląsk tak przed Czechami jak i Niemcami, jak i wreszcie ci, którzy Wilno zachowali dla macierzy naszej, toż to wszystko potomkowie tych, jeżeli nie cieleśni, to duchowi, którzy w 1863 roku myśl narodową swą krwią użyźnili.

Z krwi ich serdecznej i myśli przepełnionej miłością Ojczyzny wyrosła wolność Polski, którą my, ich synowie, dziś się cieszymy.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

Sam jeździł teraz stale na wózku za pułkiem i tak się spasł, że mu policzki świeciły się od tłuszczu, jak atłas, druga broda mu urosła, brzuch stał się wydatnym, a skórzany trzos pęczniał mu coraz bardziej. Znalazły się też u niego rozmaite porządeczki: złoty zegarek, pierścionki, spinki, srebrne ostrogi, lakierowane buty, trzy piękne konie osiodłane, przyczepione z tyłu do wózka. A co się tam wewnątrz wózka znajdowało, tego wtedy nie wiedziałem, bo najprzód nie miałem czasu na szczegółową rewizję, a potem Grześ systematycznie nie schodził nigdy z bryczki, a zszedłszy, nigdy się od niej zbytecznie nie oddalał.

Skalski, który był wiecznie głodny, stale żywił się u Grzesia i nazywał go ciągle perłą i brylantem ordynansów. Ja zaś, patrząc na to wszystko, groziłem hultajowi i mówiłem:

— Rabuś widać jesteś i niech ja się tylko dowiem o jakim gwałcie, takie ci sprawię basy, że cię rodzona matka nie pozna!

Grześ rozdziawiał do śmiechu czerwoną swoją gębę i prawił:

— No, matka mię poznać nie mogą, bo już nie żyją, i niech pan porucznik będzie spokojny, nikt się na mnie nie poskarży. To, co mam, to wszyćko z pałaszem zdobyte na Prusakach, a tego sam cysorz Napolijon nie broni.

W rzeczy samej, przez cały czas wojny żadna skarga na tego hultaja do mnie nie doszła.

Byliśmy w ciągłych marszach, zaledwie odpoczywając po kilka godzin na dobę, biwakując pod gołem niebem, co przy nocnych przymrozkach nie należało do zbyt wielkiej przyjemności. Nasza brygada polsko-bawarska, czasem wspierana przez 5-ty pułk huzarów francuskich i trzy baterje artylerji konnej, stanowiła ciągle straż przednią i nie było prawie dnia, żebyśmy nie mieli starcia z cofającymi się przed nami Prusakami, którzy, w miarę posuwania się naszego, coraz twardziej stawali i w coraz większych występowali masach.

To też w sztabie naszym głośno zapowiadano, że lada dzień przyjdzie do walnej bitwy. Szliśmy przez Leist, Gerau, Neustadt i Naumburg. W tem ostatniem mieście, gdzieśmy zatrzymali się na całą noc, dowiedzieliśmy się, że cała armja pruska, wynosząca około 150.000 ludzi, pod naczelnem dowództwem króla pruskiego, skoncentrowała się na silnej bardzo pozycji pod Jeną, oddalonem od Naumburga może na parę mil, zamierza wydać nam bitwę.

Niewiele dbałem o to i wcale nie myślałem o niebezpieczeństwach tak bliskiego boju i o tem, że mogę zginąć. Łóżko stało się teraz dla mnie tak upragnionym ideałem, że za przespanie się w niem spokojnie przez noc całą gotów byłem dać choćby paręset talarów.

Ale nie trzeba było tego wszystkiego. Grześ, jak zwykle odczuwając moje pragnienie, odszukał mię stojącego na rynku miasteczka ze smutną miną i, zbliżywszy się do mnie, szepnął mi do ucha:

— Niech pan porucznik się nie rusza, nie gada, jeno słucha, bo cosik dobrego rzeknę.

— Cóż takiego?

— Chce pan porucznik wyspać się galanto, w pięknej świetlicy z zegarem, na łóżku, w pierzynach pod samą powałę? Chce pan porucznik?

— Oczywiście, że chcę.

— To niech pan porucznik nic nie gada, jeno pójdzie za mną. To niedaleko stąd.

W rzeczy samej zaprowadził mnie do jakiegoś bardzo porządnie wyglądającego domu, gdzie gospodarz, jakem się później dowiedział, rajca miejski i kupiec, nazwiskiem Hammer, przyjął mię bardzo gościnnie, mówiąc, że przed laty dwudziestu był w Polsce i że mu jakiś Polak wtedy wielką zrobił przysługę. Jaka to była przysługa i kto był ten Polak, nie powiedział, dodał tylko:

— Odtąd przez pamięć tej przysługi, postanowiłem odwdzięczać się zawsze Polakom. Dzielny to naród. Miło mi pana oficera widzieć w swym domu i uważaj się tutaj, jakbyś był u siebie.

Zaprowadził mię do stołowego pokoju, gdzie już wykwintna kolacja była gotowa, a żona i córka pana Hammera czekały na nas. Uradowany byłem z tego niezmiernie, ale jakim sposobem Grześ trafił na taki dom, nie wiedziałem wtedy i dziś nie wiem, bo na razie nie mogłem pytać a później nie było czasu o tem myśleć. Żal mi tylko było, że ja sam z tej kolacji i spoczynku mam korzystać. Prosiłem więc pani Hammerowej, mówiącej nieźle po francusku, by pozwoliła mi sprowadzić Skalskiego, na co gdy oboje się zgodzili, wysłałem Grzesia po Tadzika, który też niebawem przyszedł i, najedzeni, wyspaliśmy się wybornie na miękkich łóżkach, w całej górze pierzyn i poduszek.

Taką miałem noc w wigilję bitwy pod Jeną.

XVIII.

Dnia 13 października — data na zawsze pamiętna w historji i w mem życiu — o szarym jeszcze świcie zbudziła nas pobudka wojskowa. Zbudziłem się pierwszy i rozglądać się począłem po wykwintnym pokoju, w którym spoczywałem, oraz po miękkiej pościeli, w której z rozkoszą się wyciągałem. Dawno już takich wygód nie zaznałem. Skalski jeszcze spał i chrapał mocno. Nie chciało mi się wstać, Tadzika żal mi było budzić, leżałem więc na miękkich piernatach, przysłuchując się melancholijnej nucie pobudki. Ale Grześ nie pozwolił na te zniewieściałe wczasy. Wpadł do pokoju i krzyczał:

— Wstawać, panie poruczniku! Pułk już się zbiera na rynku, zaraz pomaszerujemy i będzie bitwa, bo Prusaki pono są tuż!

Zerwałem się z łóżka, zbudziłem Tadzika i w dziesięć minut byliśmy gotowi. Brygada stała już na rynku gotowa do wymarszu. Czekaliśmy tylko na jenerała Henri'ego i pułkowników. A gdy oni się zjawili, muzyka nasza zagrała „Kiedy ranne wstają zorze", cały pułk jej zawtórował i przy dźwiękach tej pieśni ojczystej raźno ruszyliśmy ku Jenie...

Przybyliśmy pod Jenę dość wcześnie, bo odległość tego miasta od Naumburga jest niewielka, i zajęliśmy całą naszą siłą nieobszerne płaskowzgórze, na którem piechota, artylerja i część jazdy, ustawiły się w szyku bojowym. Nasz pułk ułański wysłano na grangardy, widety i podjazdy, które gęsto na wszystkie strony rozsyłano dla rozświecenia sobie położenia.

A położenie to było dość niebezpieczne, gdyż gęsta mgła wciąż pokrywała okolicę, a wiedzieliśmy, że mamy przed sobą wielką armję pruską, której widać nie było, tylko wiatr donosił nam głuchy szum, tentent koni, gwar ludzi, dudnienie dział. Na jedną z takich grangard wysłany zostałem z plutonem ułanów na skraj małego lasku, leżącego na naszem lewem u stóp płaskowzgórza, zajętego przez nasz korpusik, w ciasnej, raczej na wąwóz wyglądającej dolinie.

Rozstawiłem gęste widety na skraju lasu, a sam z resztą plutonu umieściłem się w krzakach i, zszedłszy z żołnierzami z koni, pilną na wszystko zwracaliśmy uwagę. Tutaj, ponieważ byliśmy bliżej o jakie ćwierć mili obozowisk pruskich, słyszeliśmy o wiele wyraźniej ową głuchą wrzawę, jaką zawsze sprawia taka masa ludzi i koni.

Zajmowaliśmy nasze stanowisko mocno naprzód wysunięte, stąd bardzo niebezpieczne, już koło godziny, i miałem zamiar zmienić ułanów na widetach, gdy nagle zbliżył się do mnie podoficer Kapusta, znany mi jeszcze z pierwszej chwili mego zetknięcia się z pułkiem naszym, i szeptem rzekł, salutując:

— Melduję panie porucznikowi, że środkiem lasku ktoś jedzie.

— Jakto środkiem lasku?

— A tak... między nami a widetami.

— A ty skąd wiesz o tem? Nic przecie nie słychać.

— Ba! panie poruczniku, ja stary żołnierz i wiem, że na grangardach trzeba mieć uszy i oczy otwarte.

Kapustę znałem jako bardzo roztropnego i rozgarniętego żołnierza i widziałem, że nie położył się, jak inni i jak ja sam, na trawie pod krzakiem, ale nieustannie kręcił się po lasku. Z tem wszystkiem doniesienie Kapusty wydało mi się dość dziwnem, bo jakimże sposobem ktoś mógłby się dostać między nas i widety tak, żeby te ostatnie go nie spostrzegły? Chyba, że to był jaki podjazd nasz własny, a nie nieprzyjacielski. Wypowiedziałem tę uwagę Kapuście, na co on odrzekł:

— Zapewne, że tak jest, ale należy obaczyć.

— Więc weź trzech ludzi i obacz.

Grześ, który na wszystkie podjazdy i wycieczki stale mi towarzyszył, w części przez przywiązanie do mnie, a w części dlatego, że się zawsze na nich suto obławiał, a na teraźniejszej grangardzie drzemał pod drzewem markotny (bo cóż w lesie znaleźć można?), usłyszawszy mój rozkaz, podniósł się leniwie i rzekł:

— To i ja pójdę.

I poszli we czterech pod wodzą Kapusty.

Nie przywiązywałem żadnej wagi ani do doniesienia podoficera, ani do jego wyprawy, samoczwart przedsięwziętej; byłem przekonany, że jest to albo nasz podjazd, albo, co prawdopodobniejsze, nerwowo podnieconemu żołnierzowi się zdawało, że ktoś przez las jedzie.

Dlatego też naprawdę się przestraszyłem i zdziwiłem, gdy w dziesięć minut potem przypadł do mnie Grześ zziajany, przerażony jakiś, z oczyma wytrzeszczonemi, chwytający powietrze gwałtownie i szepnął mi do ucha:

— Paniczu! paniczu! (zapomniał z pośpiechu tytułować mię już porucznikiem) to Miller ucieka do Prusaków.

— Jaki Miller? — spytałem, nie rozumiejąc na razie, o co idzie.

— A ten rotmistrz świabski, co chciał panicza obwiesić. Tera hultaj zdradził i ucieka do Prusaków.

— Co ty pleciesz! — zawołałem. — Jak, gdzie ucieka? Nic nie rozumiem...

— Ucieka, paniczu, z czterema żołnierzami. Jeno się teraz zatrzymali w krzakach i wysłali jednego na zwiady, którędy przedostać się między naszemi widetami.

— A ty skąd o tem wszystkiem wiesz?

— A wiem, bo Kapusta, który po świabsku szwargocze, niby Śwab, wysłuchał ich, jak się naradzali i mnie tu przysłał z doniesieniem. Trzeba, paniczu, wziąć z dziesięciu naszych i capniemy zdrajców.

Zerwałem się na równe nogi. Już od paru dni gadano w pułku, że Miller gdzieś tam na jakimś rekonesansie dopuścił się rabunku i gwałtu, i że ma być pod sąd polowy oddany. Niewiele mię to obchodziło i zapomniałem o całej tej sprawie, ale teraz stanęła mi w pamięci. Widocznie Miller, obawiając się rezultatu swej sprawy, postanowił dezerterować do Prusaków.

W jednej chwili, z właściwą mi w niebezpieczniejszych wypadkach przytomnością umysłu, miałem plan gotowy.

— Wrzosek! — zawołałem do jednego z żołnierzy — siadaj na koń i objedź mi wszystkie widety, zalecając z mego rozkazu, aby nikogo jadącego z lasu nie przepuszczały! Spraw się tylko szybko i cicho.

— Podoficer Paluchowski — komenderowałem dalej — pójdzie za mną pieszo z całą swoją sekcją!

Było to dziesięciu ludzi, a ze mną, Grzesiem i Paluchowskim trzynastu, a w połączeniu z trzema żołnierzami i Kapustą siedmnastu, co było aż nadto dostateczną siłą do zagarnięcia i pokonania w razie oporu dezerterów.

Już miałem wyruszyć na obławę, gdy nagle zatrzymałem się. Przyszła mi bowiem myśl do głowy, że Miller, jeżeli go schwycę, będzie to uważał za zemstę z mej strony, za niegodną chęć zapłacenia mu z nawiązką za to, że mię chciał kiedyś obwiesić. Przytem — mówiłem sobie — co mnie do tego? Niech go kaci porwią i niech kto inny go chwyta.

Tą myślą powodowany, już chciałem zaniechać wyprawy, gdy widok żołnierzy, gotowych do wymarszu i patrzących na mnie dziwnie, przypomniał mi, że już za późno cofać dany rozkaz. Prócz tego znałem kodeks wojenny, który niedawno przerzuciłem i wiedziałem, że za wypuszczenie lub ułatwienie ucieczki dezerterowi czeka winnego sąd polowy i kula w łeb. Nie miałem wcale ochoty pokutować za takiego łotra i rabusia, jakim był Miller. Wreszcie Miller, uciekłszy, mógł zdradzić przed nieprzyjacielem, że przed nim stoi osamotniony, jakieś dwanaście tysięcy ludzi liczący korpusik, który mógł się stać łatwą zdobyczą. Czyż mogłem moich towarzyszów, mych rodaków narażać na śmierć lub niewolę dlatego, że jakiś tam zdrajca posądzi mnie o chęć pomszczenia się na nim?

Ten wzgląd przekonał mię ostatecznie i już miałem dać rozkaz do marszu, gdy nagle w głębi lasu ozwał się strzał jeden, drugi, trzeci, który grzmiącem echem odbił się o drzewa, potem rozległy się krzyki, tentent koni, wrzawa i łoskot jakiś głuchy.

— Do koni! — krzyknąłem — cały pluton na koń!

W jednej chwili cały pluton był już gotowy i cwałem, o ile na to pozwalały drzewa i krzaki lasu, puściliśmy się w kierunku owej wrzawy, która coraz donośniej się po lesie rozlegała, przyczem wyraźnie słyszeliśmy szczęk szabel, jak gdyby ktoś się rąbał w ręcznym boju.

Nakoniec ja i Grześ, który nam był przewodnikiem, dopadliśmy pierwsi do miejsca walki, bo toczyła się tu uparta i, niestety, krwawa walka.

Miller, osaczony przez naszych czterech ułanów, z dwoma swoimi Bawarami usiłował wydostać się i rąbał na prawo i lewo i byłby niewątpliwie wymknął się, bo Kapusta leżał na ziemi z rozrąbaną strasznie głową, jeden z ułanów miał kulą pierś przeszytą i dyszał ciężko, a dwaj pozostali kryli się za drzewami. Przybycie nasze oczywiście zmieniło odrazu postać rzeczy. Widząc co się święci, krzyknąłem na swoich:

— Otoczyć tych łotrów! żywcem ich wziąć!

A zwracając się do Millera, zawołałem:

— Poddaj się!

Siedział on na dzielnym, choć ciężkim koniu niemieckim, z nagim prostym rapirem w ręku. Na moje wezwanie, spojrzał na mnie dzikim, strasznym, rozognionym wzrokiem i, krzyknąwszy chrapliwym głosem: „Ach, to ty Herr von Rudnicki, psie polski! Nie obwiesiłem cię, ale nic straconego, teraz mi za wszystko odpowiesz!“ rzucił się na mnie.

Napad ten był tak nagły i tak niespodziewany dla mnie, że Miller byłby mię zgoła nieprzygotowanego do obrony bez żadnej wątpliwości przebił nawskroś strasznym sztychem swego rapiru, gdyby nie Grześ, który chłopskim, ale jak teraz skutecznym obyczajem palnął Niemca drzewcem od lancy w głowę tak silnie, że lanca pękła na dwoje, a Miller zwalił się jak długi z konia.

Grześ, dokonawszy tego, szybko zeskoczył na ziemię i krzycząc:

— Ha, Szwabie podły, zarżnę cię teraz, jak barana.

I w rzeczy samej zabierał się do tego. Zrzuciwszy hełm z głowy Millera, wydobył z za cholewy buta wielki nóż, chwycił Niemca za włosy i chciał mu poderżnąć gardło, czy też uciąć głowę, ale nie dopuściłem do tego barbarzyńskiego morderstwa, co zdawało się nadzwyczajnie dziwić Grzesia. Nie pojmował on, dlaczego mu bronię zarżnąć Millera, kiedy, według jego mniemania, Niemiec zupełnie na to zasłużył.

Tymczasem ułani schwytali i rozbroili dragonów bawarskich, a Miller, przyszedłszy do siebie z ogłuszenia, w jakie go wprawił chłopski cios Grzesia, usiadł na ziemi i, patrząc na mnie swym bazyliszkowym wzrokiem rzekł:

— Pomściłeś się, panie oficerze polski. Ja wiem, że zemsta jest rozkoszą bogów, jak powiadają Włosi. Nie obwiesiłem cię, czego teraz mocno żałuję, ale jeżeli miałeś do mnie urazę, czemu po rycersku nie załatwiłeś jej, a nie kupą poszedłeś na jednego? Tfu! przeklęte psy polskie!

Nic na to nie odrzekłem, tylko kazałem jego i dragonów związać i zamierzałem pod strażą paru ułanów odesłać do obozu, gdy przypadło pół szwadronu naszych pod wodzą rotmistrza Borzęckiego. Owe strzały, które Miller dał w obronie swojej, usłyszano w obozie i sądząc, że nieprzyjaciel się zbliża, czy też, że napadł na grangardę, wysłano na podjazd Borzęckiego. Dowiedziawszy się, o co idzie, zabrał Millera i dragonów, mówiąc:

— W trzy godziny będzie ladaco wisiał, bo rozstrzeliwać go nie będą. Szkoda prochu na takiego hultaja, a przytem niebezpieczna hukiem zwracać uwagę nieprzyjaciela.

(Dokończenie nastąpi).

Wesele Walka.

Nowelka.

Radowała się Walkowa dusza. Hej! i jakże się tu nie radować! Za dwa tygodnie porzuci na zawsze ciemne podziemia kopalni i do rodzinnej wróci wioski, do ciemnych borów i zielonych pól, i do swej Kasi, dziewczyny jak malowanie. Do tej Kasieńki ukochanej, dla której porzucił skąpane w słońcu łany i w dalekie poszedł kraje, by w podziemiach kopalń rwać z łona ziemi czarne djamenty, duszę kąpać w tęsknocie, a ciało w znoju.

Kilka lat już nie widział swej wioski, w ciągu których bez przerwy czarne węglane kuł ściany, do grosza składał grosz, aby nikt mu nie zarzucił, że gospodarską córę bierze na nędzę i poniewierkę.

Hej! i oto zbliża się kres ciężkiego znoju, postnych dni, niedospanych nocy. Zaniedługo Kasieńka poda mu swą rączkę przed ołtarzem wiejskiego kościółka. A potem rozpoczną się dni jasne, wesołe, szczęśliwe, beztroskie, wśród zielonych pól i złotych promieni słońca.

Przeżywał to przyszłe szczęście. A tymczasem robota paliła mu się w rękach. Skończył obudowę filaru świeżem, sosnowem drzewem, aże zapachniało jak w borze; wywiercił otwory w węglanej ścianie, nabił, odstrzelił, a teraz pomagał ładowaczom napełniać wózki urobkiem. Niepokoiło go trochę, że od strzałów porysował się strop, ale wkrótce utonął w marzeniach i jak automat napełniał węglem trzymaną krzepko w dłoniach łopatą, wypróżnia li nanowo napełniał, fizycznie tylko będąc obecnym, bo duchem zbliżał się do rodzinnej wioski.

Oto już minął Mękę Pańską na rozstajnych drogach, pachnący sosnowy bór i zbliżał się do pierwszych chat wioski. Słońce zmęczone dzienną wędrówką coraz niżej i niżej opadało, aby zginąć gdzieś za horyzontem. Od stawów szło ciche, nieśmiałe jeszcze kumkanie żab, zaś od wioski stłumione dźwięki skrzypiec. Dziwiło go trochę to granie, jakiś nieokreślony niepokój budząc w sercu. Minął pierwsze chaty okolone sadami, a nie ujrzał jeszcze ani jednej ludzkiej twarzy. Cicho wszędzie i pusto, jakby cmentarne wyminął wierzeje, tylko skrzypiec granie i pomrukiwanie basetli coraz wyraźniejsze, brzmi jak szum drzew na mogiłach.

Przyspieszył kroku i skierował się w stronę karczmy skąd dochodziło granie. Wyminąwszy kilka chat, ujrzał gromady ludzi zaglądające przez otwarte drzwi i okna do oświetlonego wnętrza karczmy.

Poznał wesele. Poznał po nucie, po wstążkach, któremi były ustrojone dziewuchy i chłopcy. Zapytany pierwszy z brzegu pastuszek: czyje to wesele, odparł; Jaśka Korlika z Kasią od Grzeli.

Jakby kto ognistego ogiera batem ściągnął: skoczył jak szalony w tłum, rozstępujący się i czyniący mu wolne przejście. Zatrzymał się na progu. W piersi czuł żar, w głowie szał skłębionych myśli. Przed oczyma przesuwały mu się tańczące pary w skocznych podrygach. Wtem wśród tańczących przesunęła się ona, jego Kasieńka. Na ramieniu tancerza oparła miłośnie swą główkę, a swe chabrowe oczęta utopiła w jego wzroku. Rzucił się jak dziki zwierz. Jednym skokiem zbliżył się do tańczącej pary i twardą jak stal dłonią za gardziel tancerza uchwycił. Usłyszał trzask łamanych stołów i ław. Ktoś silnem dmuchnięciem zagasił światło, tak, że ciemności zapanowały w koło, ktoś zaczął krzyczeć: uciekać! uciekać! ale on nie popuścił ofiary. Twardą dłonią dzierżył krzepko za gardziel przeciwnika, co mu Kasieńkę zabrać się ośmielił i nie odczuwał już nic, prócz zadowolonej zemsty. Nagle huk, szum, straszliwe uderzenie w głowę i resztką gasnącej świadomości odczuł grad uderzeń po całem ciele.

* * *

Dopiero na drugi dzień z pod zwału kamieni i węgla wydobyto zimne zwłoki Walka ze złamanem styliskiem łopaty w zaciśniętych rękach.

Eugenjusz Feliks.

POCHÓD NA SYBIR.



We wstępnym artykule dzisiejszego numeru piszemy o ostatniem powstaniu polskiem i wspominamy, że Moskale tych, których zdołali dostać w swoje ręce, wysyłali w Sybir na długie i ciężkie męczarnie. Powyżej umieszczony obrazek, reprodukcja obrazu Artura Grottgera, przedstawia taką właśnie zsyłkę na Sybir. Garść najlepszych synów Ojczyzny pędzą zbiry rosyjskie w dalekie krainy. Niejeden z nich pada ze zmęczenia, nie mogąc iść dalej, ale okrutni siepacze nahajką, bijąc do krwi, popędzają dotąd, aż biedak trupem nie padnie i nie wyznaczy kośćmi swojemi strasznej drogi zesłania. Tylko najsilniejsi dochodzą do celu i tam pędzą żywot, póki litościwa śmierć nie skróci ich strasznych męczarni. Rzadko który z tych nieszczęśliwych zesłańców zobaczył już ziemię ojczystą. Ciała ich spoczęły zdala od tej ziemicy, którą ponad życie ukochali.

Przygody biednego chłopa.

Wionęła zamieć, zasypała miękkim puszystym śniegiem wszystkie drogi i ścieżki. Świata Bożego nie było widać poprzez korowody ptaków śnieżnych; płaty lecą z góry z dołu i boków. Białe niebo zlało się z białą ziemią, nigdzie żywej duszy nie znajdziesz. Zapadł mrok wieczorny.

Chłop Spyrka szedł ze wsi w kierunku miasta i niósł dla dzieci pańskich trzy choinki wycięte w pańskim lesie. Co też uciechy będzie dla pańskich dzieci, a chleba dla dzieci Spyrkowych! A zima ta ciężka była i głodowa, to też przyszło Spyrce na myśl zrobić wyprawę do lasu pańskiego, sprzedać skradzione chojaki w mieście i kupić dzieciom co na święta. Cóż w tem złego? W lesie taki chojak nic nie wart, a w mieście go można sprzedać za kilka koron — tak myśli sobie chłop Spyrka i duma o kawie, której kupi, o cukrze, piernikach, o tabaku i nowej spodnicy dla baby. Marzy tak, marzy i nie zauważył, że oddawna już idzie po bezdrożu. Już od dwóch godzin przedziera się przez zaspy, ognie miasta powinnyby się już ukazać, a tu nic i nic. Wreszcie przystanął i obejrzał się do koła.

— A do djabła! — zaklął zły. Zaledwie wspomniał imię djabła, dojrzał nagle jakąś kudłatą postać fikającą kozielki po śniegu: nito zając, nito pies, ni wydra.

— Zgiń, przepadnij, nieczysty — krzyknął Spyrka, tupiąc nogą.

Djabeł zatrzymał się, usiadł na zaspie śnieżnej i począł wabić chłopa łapą ku sobie. Spyrka przeżegnał się i ukląkł do modlitwy.

— Nic się nie bój gospodarzu, żadnej ci krzywdy nie zrobię — rzecze djabeł.

— Ktoś ty? Widzi mi się, że jesteś djabłem.

— Między nami mówiąc, masz słuszność.

— A jakeś djabeł, to idź do wszystkich djabłów, nie chcę wdawać się z tobą.

Spyrka przeżegnał się i idzie w dalszą drogę. Bies idzie za nim i powiada:

— Ja też do miasta. Pójdziemy razem, będzie nam weselej.

— Nikt ci nie broni, idź sobie, ale nie myśl, że mnie skusisz.

Idzie djabeł obok chłopa, drepce, ręce zaciera. Po jakimś czasie, zawiązała się rozmowa.

— Zimno! — powiada chłop. Dobrze tobie, kudły cię grzeją, a ja w tej dziurawej kapocie na kość zmarzłem.

— Ogon sobie odmroziłem — skarży się bies.

— Powiedz ty mi, po co ci ten ogon i rogi?

— Taki już przepis mego stroju.

Po chwili chłop się odzywa: — Słuchaj djable, czy nie zabłądziliśmy? Oddawna powinnyby już być światła widoczne.

Spyrka się rozgadał na dobre o swej nędzy, o głodnych dzieciach i babie kwękającej. Cała nadzieja, że sprzedam w mieście te chojaki i co nieco kupię. Miękkie snać serce miał dpabeł, gdyż wzruszył się chłopską niedolą i rzekł:

— Wiesz chłopku, mógłbym cię w pokuszenie wywieść, do zbrodni popchnąć i do kryminału doprowadzić, a potem przygotować dobre miejsce w piekle. Cóż, kiedy i w piekle niezbyt się ceni dusze chłopskie. Co mi po twojej duszy ciemnej głupi chłopie? Chciwców, zdzierców i lichwiarzy będziem mieć dosyć. Powiem ci prawdę, nie idziesz do miasta, jeno wracasz prościutko do swojej wsi.

— Bodajeś się udławił nieczysty! Gdzie masz sumienie? Czemuś mi tego nie powiedział wcześniej. Ach ty przeklęty duchu! bodaj cię!

— Czekaj, zamilcz! toć to grzech tak szpetnie wymyślać! Fe!

Nie chce Spyrka słuchać, zawrócił i pobiegł w przeciwnym kierunku.

— Stój, czekaj! — Dopędza go bies. — Chcesz, w okamgnieniu odwiozę cię do miasta. Siadaj mi na barana.

— Wolę tu zmarznąć, niż na djable jeździć. Jestem katolikiem.

— Rozumiem, dobrze to rozumiem, że nie bardzo to wypada, abyś na djable okrakiem jeździł. Co innego mam na myśli: pojedziesz parą rumaków, z dzwonkami, z paradą jak pan.

— E? Czy potrafisz to zrobić?

— Czego djabeł nie potrafi? A więc zgoda?

Poskrobał się chłop w głowę. Radby przejechać się.

— Hm, przejechałbym się, ale jakoś to nie uchodzi, kabocina na mnie, buciska potargane.

— A od czegóż ja jestem? Potrafię cię godnie przyodziać. Za kogo chcesz być przybranym: za kupca, za pana, czy za urzędnika?

Chłopu aż dech zaparło. Kusi go możność zostania panem choć na krótki czas.

— Hm. Możeby tak za bogatego pana — myśli biedak: — Ale słuchaj, djable, czy ty nie chcesz mię prościutko do piekła zawieść?

— Nie bój się!

Wiatr wył coraz mocniej, ciemność wciąż się zgęszczała. Spyrka skostniał cały, wąsy przyrosły do brody, aż mówić mu było trudno.

— Niech będzie! Dawaj konie!

Djabeł wykręcił się, fiknął koziołka i po chwili zamienił się w tęgiego brodatego woźnicę we futrze, rękawicach, z batem. W śnieżnym tumanie zadzwoniły dzwoneczki, zaparskały rącze konie.

— Prr! stój! — nagle krzyknął woźnica — niechże pan raczy wsiąść.

Spyrka poczuł nagle, że ma na sobie futro ciepłe, do sani wsiadł, poprawił na głowie czapkę futrzaną i wio! Pomknęły konie, jak wiatr.

— Dobrze się jedzie — mruknął zadowolony chłop — trza se zakurzyć.

Sięgnął do kieszeni po fajkę, lecz o dziwo! wyjął z niej srebrną papierośnicę, otworzył i pełno w niej papierosów. Zapalił jednego i puścił kłąb dymu.

— Ho — ho! jakie pachnące — rzekł uciesziony chłop — zaciągając się — Hej — hej! żeby to tak można być panem przez całe życie! — westchnął Spyrka i zadumał się o pańskiem życiu. Jak długo dumał, nie mógł powiedzieć. Ocknął się, gdy konie zatrzymały się.

— Co to, czy to już miasto? — zawołał zdziwiony chłop.

— A miasto — odrzekł woźnica djabeł — dokąd pan rozkaże zawieść się: do hotelu, czy najpierw do restauracji coś przejeść i napić się.

— Zaraz! poczekaj, muszę porachować ile mam pieniędzy.

— Nic się nie bój! Masz w kieszeni tysiące.

Pan-chłop sięgnął ręką do kieszeni. Pugilares miał wyładowany pieniądzmi, więc zawołał:

— Wal do najlepszej restauracji.

Z wielką paradą zajechali przed pierwszorzędny hotel. Wypadli lokaje, aby znosić kufry bogatego pana.

Po chwili wchodzi Spyrka do sali i widzi wszędzie lustra, dywany, marmury. Przy drwiach stanął w pokornej postawie woźnica i powiada:

— Na piwo grzane może pan ofiaruje coś?

Pan wyjął 10 złotych i dał woźnicy. Stoi djabeł, drepce na miejscu i nie odchodzi.

— Czy mało?

— Zrobiłem swoje, odwiozłem cię do miasta — rzecze bies.

Fiknął woźnica koziołka i zamienił się z powrotem w kudłatego djabła — a pan w obdartego chłopa, głodnego i zziębniętego.

— No wynoś się — krzyknął groźnie Spyrka. — Wstydzę się ciebie!

— Spojrzyj no bratku do lustra — rzecze djabeł.

Spojrzał Spyrka i serce mu się z żalu ścisnęło: nie ma już ni futra, ni czapki, ani srebrnej papierośnicy, ani pieniędzy.

— Djabełku! nie krzywdź mnie, zamień mnie w pana — prosi.

— Zgoda! Ale musisz mi za to oddać swoje chłopskie sumienie.

— Dobrze, po co mi to biedne chłopskie sumienie. Ale bez sumienia mnie nie zostaw. Daj mi w zamian sumienie inne, takie, jakie mają ci, co się prędko bogacą.

— Zgoda! Siadaj, zaraz wyjmię z ciebie chłopskie sumienie.

Usiadł Spyrka, a djabeł włożył mu do gardła swą łapę i sięgnął aż do serca.

— Oj boli, boli! Ratujcie! — woła rozpacznie chłop.

Aż się zasapał bies, zanim wyciągnął chłopskie sumienie: tak głęboko siedziało. Było czyste, jak łza dziecka.

— Już! Teraz wstań i trzy razy spluń.

Wstał Spyrka. Tak mu lekko, jakby się bolącego zęba pozbył.

— Teraz podskocz.

Podskoczył i znów się w pana zamienił. Sięgnął do kieszeni: pełno tysiączek.

— Bądź zdrów — rzekł djabeł.

— Czekaj, dajże mi inne sumienie.

— A co ci po niem?

— Jakże tak, bez sumienia?

— Pieniędzy masz kupę, starczy ci to za sumienie. Zachychotał djabeł, myrdnął ogonem i zniknął.

Od tego czasu stał się Spyrka wielkim panem. Ma na wsi pałac murowany, sam mieszka na pierwszem piętrze, na dole wyszynk i sklep. Chłopów trzyma w garści i w kieszeni, przyjaźni się tylko z karczmarzami, handlarzami i wszystkimi, co dybią na chłopską krwawicę.

We wsi dziwy o nim opowiadają. Co roku zajeżdżają przed dom zbogaconego Spyrki, który się przezwał już Spyrkowski, sanie zaprzężone w parę karych koni. Spyrka wychodzi ubrany w futro i czapę, siada w sanie i pędzi, całą noc pędzi. Nie to jeszcze, że jeździ w noc bez potrzeby — ale jeździ z djabłem, bo widziano, że zamiast woźnicy siedzi na koźle czart i ogonem konie popędza.

Z roku na rok bogacił się karczmarz Spyrka coraz bardziej, wzbijał się w dumę, a chłopów obdzierał niemiłosiernie. Cały majątek wkładał w wielką fabrykę. — Budował ją przez kilka lat i wybudował gmach wielki. Fabryka miała wyrabiać taką wódkę, że każdy chłop, któryby jej raz skosztował, nie przestałby pić.

Po kilku latach wszystko było gotowe. Fabryka ruszyła. Spyrka urządził bal, na który zjechali się nocą nieznani goście. Koło północy zerwała się straszna burza. — Piorun jeden za drugim walił w zabudowania Spyrki, a wtedy rozległy się okropne wycia, jakby chichot czartów. Ognie poczęły buchać, pożar szalał z gwałtowną mocą. Z majątku Spyrki i z niego samego pozostał tylko popiół.

Tak Spyrka za dobroć djabła przypłacił swą duszą. *J. Serafin.*

Kaśka Myrdalonka gada:



Kto ino się na ten obrazek popatrzy, to zaraz pozna, że to ja. Bo i któzby inksy był taki urodny, jak nie ja. Gębusia okrąglutka nicem Mośkowa jarmułka, ustecka od końca do końca bez cały kilometr zarózowione, jak zachodzące słonecko za Bartkową stodołę, warkocyki powiewne, kieby babskiego lata pajęcyna. A reśta, ta, co jej nie widać, to prosę siadać!! Chciałam się dać cała malarzowi wymalować, ale ten powsinoga Maciek pada: „Nie pokazuj wszyćkiem wszyćkiego, co mas, boby się ludzie przelękli i zadenby z nich przez całą wiecność na zadną kobitę nie popatrzył!“ I bezto jestem ino zapozwoleniem wymalowana ino trochę nizej brody, ale i z tego, co widać, to kuzden pozna, ze mi Poniezus ani u góry, ani u dołu urody nie odmówił.

Jednego się ino boję. Wiadomo przecie, ze teraz idą wybory, to kuzdemu wolno wybierać, kogo mu się ino żywnie zachce. I jak mnie tak wszyćkie chłopaki z całego kraju zacną wybierać, to nie obstoję, bo gęby toby ta jesce wystarcyło la wszyćkich, ale z reśtoma cęściami ciała, to byłaby bida. Zreśtą choćby wszyscy chcieli, to jegomość powiadają, ze tylko za jednego mozna się wydać. Lacego, to nie wiem, boć w porządnem gospodarstwie toby się więcej chłopów przydało. Przysłaby taka młocka nieprzymirzając, to jakby było więcej, to nie trzaby przynajmować, ale sami swoi wszyćko zbozeby wyłuskali. Albo inksa robota! Cy to jeden wszyćkiemu podoli. A tak toby ten to, tamten tamto i jakosikby raźniej wszyćko sło. A i z dzieckami nie trzaby się tyle babrać i na byle jakiego brzdąca cały rok cekać. Jakby było więcej chłopa w chałpie, toby mógł być co miesiąc pędrak i ciekby się prędzej jakiego takiego pastusyny docekał i prędzej miałby kto dziecka zakołysać i kury z grzędy wygonić. Cóz kiedy się jegomość w takich razach upierają, a z nimi nie poradzi w takich razach ani po dobroci, ani po złości.

Uzaliłam się na nasego jegomości przed prefesurem, a on mi powiada:

— Jegomość chcą sprawiedliwie! Cy to nie dość, jak jeden człowiek będzie niescęśliwy!

Ja inom ciekawa, który mnie tez pirsy wybierze i kto to będzie taki. Cy gospodarski syn ze wsi, cy jaki pan z miasta, a moze minister, albo inksy hrabia? Zeby się ino naraz wszyscy nie zwalili, bo mogliby się przy tej okazji posturchać, a co do krwi, to ja ino kiski krwawe lubię.

Juz ja to wszyćko widzę, jak to będzie! Przyizdza se taki źgac w karycie, zaprzęzonej w śtyry kare konie i powiada:

— Kaśka Myrdalonka, kces mnie?

A ja mu na to:

— I cegózbym cię, chorobo, nie chciała? Jageś ino cały i z wszyćkiemi przynaleznościami i mas za co babę z dzieckami utrzymać, to i owsem! Ja tam nie od tego.

A wtedy źgac, to jest ten mój przysły niescęśnik, bęc przedemną na wszyćkie śtyry kolana i pada:

— O mój ty aniele złoty! Śniłem o tobie i marzyłem o tobie. Powiadali mi,ześ okruteśnie cudacka, aleześ taka, jakaś jest, to mi się to nigdy ani nie przyśniło. I od dzisiaj ja ci ślubuję, ze cię nie puscę, jaz do śmierci nasej Amen.

A ja wtencas spuscę ocy na dół i powiem mu:

— Jak ja powiadam, ze tak, to jest jesce nie całkiem tak, bo nie wiadomo, co na to wszyćko moja rodzona gospodyni powiedzą?

A on wtedy łap gospodynię za nogi i zacnie molestować:

— Dajcie mi Kaśkę Myrdalonkę, bo bez niej ani kapusta nie będzie smakować, ani pirogi ze syrem i ziemniakami.

A wtedy gospodyni niby się to nie będą chcieli zgodzić, ale jak dostaną ze dwa złote, to jesce Panu Bogu dziękują, ze się jem taka gratka trafiła. A potem pójdziewa do jegomości na zapowiedzi ochfiarować, a potem ślub, wesele i wszyćkie inkse rzecy, o których wam nie trza gadać, bo przecie wszyscy dobrze wiecie, na co się ludzie zenią.

A co do miłości samej, to ona się juz wnetki wyrobi, jak ja ino tego mojego posturchańca w swoje pazury złapie. Będzie mnie tak miłował jaz go słabość będzie brała. Jak się o tem wszyćkiem Maciek dowie, to go takze choroba potłuce, cego mu z całego serca zycę na wieki wieków Amen.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

VII.

Dwa cudy.

Następnego dnia z rana przybył do Elizeusza księgarz Kaper z Jerozolimy. Był to człowiek lat może pięćdziesięciu, nizkiego wzrostu i nieco przygarbiony. Niekształtną czaszkę z guzem na potylicy, szpeciła łysina, oraz nadmiernie duże, odstające uszy, nizkie wypukłe czoło, ukryte głęboko pod brwiami, bure oczy, nos cienki, pogarbiony i głęboko wcięte usta z obwisłą dolną wargą. Nadto miał jeszcze czerwoną brodę, dość starannie utrzymaną, a lśniącą od oliwy spikonardu.



Oto co uczynił Pan.

Elizeusz po minie członka Sanhedrynu w mig pojął powód jego przybycia, więc przedewszystkiem wydalił żonę, poczem rozpoczęła się cicha gawęda. W miarę opowiadania Kapera, oblicze Elizeusza pogodniało, dowiedział się bowiem, że na osobę budowniczego spaść ma w tych dniach klątwa Sanhedrynu.

— Owo za to, że ważył się nazwać mnie kłamcą i obłudnikiem, hańba go spotka i galery!

— Tak. Stąd możesz wnosić jak bardzo ceni cię arcykapłan, bracie Elizeuszu — łgał Kaper. — Wszelako nie zaprzesz mi, że dość w tem jest mojej zasługi.

— Owo...! Swoją nowiną sprawiłeś mi wielką radość! — odparł Elizeusz.

— Zatem na ciebie kolej, abyś mnie w zamian rozradował.

— Hm... Jeśliby nie o wiele chodziło, możesz mieć nadzieję.

— Daj więc posłuch mym słowom, bracie Elizeuszu! Na ruinie Łazarza chciałbym ja budować, a przyszłoby mi to tem łatwiej, że jest w mojej mocy ułatwić aresztowanie Jezusa z Nazaretu... Nie bądź zazdrosny! bo jeśli mi dopomożesz dwoma talentami srebra w szekielach, dowie się syn Setha, iżeśmy obaj tego dokonali!

— Owo rozumiem teraz... a na cóż ci talentów?

— Na zakupno winnicy od arcykapłana... zaliś nie słyszał o winnicy pod twierdzą Millonu?

— Nie — odparł Faryzeusz.

— Otóż jestto grat, pełen filoksery, na który tybyś plunął, ale dla biednego człowieka jak ja, jest to kąsek nie lada.

Elizeusz spojrzał badawczo na księgarza, który ani cieniem nie zdradził powtórnego, obłudnego kłamstwa. W końcu przyrzekł mu owe dwa talenty, jeśli go Kaper wtajemniczy w swoje plany, odnoszące się do aresztowania Proroka, przyczem zaznaczył dobitnie, że o współdziałaniu musi arcykapłan wiedzieć. Księgarz dał solenne przyrzeczenie, poczem dla omówienia sprawy wobec świadków, udali się do khanu Mateusza, leżącego w pobliżu bramy Efraima.

W tym samym czasie schodził Chrystus z Góry Oliwnej, aby spełnić obietnicę daną Baruchowi. Po drodze płakał nad zachłannością ludzką i modlił się za swych wrogów, którzy knuli nań spisek w khanie Mateusza. A ilekroć Mistrz ukochany biadał w cichości serca, tylekroć i uczniowie Jego smutni byli, jako dzieci pozbawione matki. W niedalekiej odległości od domu Elizeusza zatrzymał się Prorok. Świadomi zwyczaju apostołowie, wiedzieli co będzie, ale spojrzenia ich utkwione w obliczu Mistrza mówiły: Panie! Przecz wznosisz radość w dom zdrajcy swojego?

Na to odrzekł im Jezus: Uczcie się odemnie. Jakom ja umiłował nieprzyjacioły, tak i wy miłujcie! Potem spojrzał na dom, w którym leżała chora od lat pięciu.

Zdawało się, że postać Chrystusa poczyna się zmieniać, urastać w promieniejącą potęgę i w Bóstwo dobroci, któremu podporządkowują się elementa siły ożywczej, mającej przeniknąć kamienne mury domu Faryzeusza... I z piersi Boga Człowieka wypłynął rozkaz potężny a słodki: Chcę! Bądź uzdrowiona Hannah, córko Elizeusza!

Niezwłocznie po odejściu Faryzeuszy wróciła Rebeka do chorej dzieweczki. Od chwili, gdy Elizeusz zrzucił Barucha ze wzgórza, iskierka życia, tlejąca w piersi Hannah, zwolna poczęła przygasać, a przeto obawiała się matka, aby dzieweczka nie zmarła podczas jej nieobecności. Już tylko szeptać mogła, a czując blizki swój koniec, pragła wypowiedzieć wszystko co ją bolało i cieszyło zarówno... Z ust nie schodził jej Baruch, ten drogi przyjaciel, który u stóp Chrystusa błagał za nią na Górze, który osładzał jej przykre chwile szczerą swą gawędą, a przecz ojciec tak nielitościwie zrzucił go ze skały?

— Bo był podniecony, ale Bóg czuwał nad tym przyjacielem. Widziałam go dzisiaj.

— Pokój z nim niech będzie i błogosławieństwo Pana! — szepnęła Hannah radośnie. — To on tylko jeden zdolny był zapomnieć urazy i bolu potłuczonych kości, on szlachetny bohater, droższy mej duszy niźli Mojżesz lub Eljasz prorok! Przymknęła oczy znużona, na wybladłych ustach zaigrał lekki, pogodny uśmiech.

Rebeka rozrzewniona patrzała w to oblicze wyschłe i pożółkłe; radaby podtrzymać jej gasnące siły i dźwignąć z łoża, choćby za cenę swej własnej swobody. I gdy tak patrzy, opanowuje ją nagle jakiś niewysłowiony lęk; słyszy wśród ścian izdebki dzwoniącą ciszę, pełną majestatu i czuje nieuchwytną potęgę, skupiającą się nad łożem.

A jednocześnie bezkrwista i przejrzysta cera dzieweczki zmieniała się w perłową z różowym odcieniem, szybko nabierały ciała policzki, na których osiadła purpurowa krasa, zsiniałe wargi pokrył cudny karmin, bielały pożółkłe zęby, różowiały dziąsła... Nawet włosy na głowie gęstniały, ciemniały jak heban i lśnić się poczęły jakby pod werweną.

A kiedy się wreszcie dokonała zmiana, dźwigły się jej powieki, z pod których wyjrzały dwa rozkoszne lśniące jak rosa w promieniach słonecznych... Podziw i zachwyt Rebeki tak był wielki, że stała u łoża jakby

skamieniała, nawet i wtedy, gdy objęły ją wiotkie ramiona dzieweczki i całowały miękkie karminowe usta. Niebawem wyskoczyła dzieweczka z łoża niemocy, piękna jako cyklamena, odmłodzona i uszczęśliwiona nad wyraz.

Powodowana przeczuciem padła na twarz, wznosząc akt dziękczynny Panu z Nazaretu, który umiłował nędzę, a i Baruchowi poprzysięgła wdzięczność swą do zgonu...

Wieść o uzdrowieniu Hannah lotem błyskawicy rozbiegła się po Betanji, doszła też i do domu Mateusza. Tłum ciekawego ludu otoczył dom Faryzeusza, chcąc na własne oczy ujrzeć uzdrowioną i dowiedzieć się o szczegółach cudu. Nadbiegł i Elizeusz. Słysząc jednakże wychwalane Imię Proroka, krzyczał do tłumu, że córka jego nigdy nie była chorą, lecz zdarzały się tylko momenta, dzięki rozpieszczeniu, a może nawet lenistwu, kiedy udawała chorą. W końcu, zbałamucona przez plugawego ślepca Barucha, głosi cześć Proroka!

Ale mowa taka nie podobała się tłumowi, porwano go więc i obito. Dziwnem jednak było zachowanie się ślepca. Wiadomość o uzdrowieniu swej oblubienicy przyjął wprawdzie z bezgraniczną radością, ale gdy mu powiedziano, że prócz zdrowia dał jej Pan urodę jako blask słoneczny, twarz jego zaszła smutkiem. Nigdy bowiem tak wyraźnie jak dziś nie odczuwał różnicy między sobą a nią, nigdy nie porównywał, chociaż czasami zdawało mu się, że Hannah zapomni o ślepym przyjacielu, skoro wyzdrowieje. Zaliż nie nadszedł teraz ów czas, przed którym ostrzegały go przeczucia? Wszak zdrowie lgnie ku zdrowiu, a on wyschły, zsiniały i w dodatku ślepy, zali nie jest chory? Spojrzy nań Hannah, złoży usta grymaśnie i odepchnie, albowiem swobodna i urocza, znalazła dla się żywioł odpowiedni... Precz Baruchu! Tak precz! — bo przywilej zdrowia odrzuca kalectwo... Wszelako, po chwili, przyszło mu na myśl, że przecież wszechwiedzący Prorok, któremu odkrył swe serce, byłby ostrzegł go przed zdradliwą naturą niewiecią, a On rzekł słodko:

„Jesteś podejrzliwy, mój dobry Baruchu... Jeśli chcesz wypróbować serce chorej Hanah, niechaj się stanie jako pragniesz..., gdy ona wejdzie w dom twój mimo twej ślepoty chcę, abyś przejrzał!“

Zaliż w tych słowach nie obwieścił ci Prorok nadziei Baruchu! A przecz ty ją podejrzewasz, przecz jesteś zazdrosny? Upokorzony tym nowym zwrotem myśli, ruszył pod wzgórze. Wmieszany w tłum, słuchał rozmaitych uwag, tyczących się domu Elizeuszowego i szyderstw skierowanych ku obitemu Faryzeuszowi... — tylko głosu Hannah nie słyszał mimo wytężenia słuchu. W miarę jak szło ku wieczorowi, ludzie rozchodzili się do domów, a gdy zciemniało zupełnie, on tylko jeden pozostał pod wzgórzem. Rodziła się w nim ochota zapukać do drzwi Rebeki, zapytać o Hannah i pogwarzyć trochę... wybadać... Raz więc wstępował na wzgórze, to znów cofał się niepewnie; nuż go wyśmieją, wydrwią lub zrzucą powtórnie?...

Hannah tymczasem stała w progu i śledziła ślepca. Rozumiała myśli jego tak dobrze jak własne, czekała tylko na wynik: Może nie pokona podejrzliwości... zawróci do domu, lecz wtedy ona go nie puści... zbiegnie ze wzgórza i da mu poznać swą wdzięczność, a zarazem skarci łagodnie za małą wiarę... Ale że ślepiec przewalczył nurtującą go niepewność i piąć się począł na wzgórze, stanęła naprzeciw z rozwartemi ramionami, w które niebawem wpadł nieoczekiwanie. W mgnieniu oka poznał, czyje to ramiona obejmują go, chociaż pełniejsze i przyjemniejsze jak onegdaj... Tak, to była Hannah, niezmienna w swych uczuciach, jednakowo miła i wdzięczna zarazem... Czuje, jak znikające z duszy podejrzenia zastępuje słodycz niezgłębiona, wrąca ufność podwójna, a w ślad za tem, jasny promień szczęścia okrasza mu lice...

— Oto, co uczynił Pan, któremu wierzyłem i którego kochałem bezbrzeżnie — szepnął Baruch.

— Uczynił to wszystko, o co Go prosiłeś, drogi przyjacielu... uczynił, albowiem tyś jest większy niż Mojżesz... jeden z miljonów, przed którymby świat ugiąć powinien kolana!

— Mówisz, jak gdyby się stało coś nadzwyczajnego, iżem dochował swego przyrzeczenia i błagał Pana o usunięcie twej gorszej niedoli? A powiedz, zali tybyś inaczej zrobiła?

— Nie inaczej, mój drogi Baruchu.

— Więc widzisz, że wśród miljona jest jeszcze ktoś drugi... I, że wiedział Pan, na kogo przelać miłosierdzie!

— Niech dla Niego błogosławieństwo z ust naszych nie schodzi do końca żywota — mówiła Hannah wzruszona. — Już dzisiaj dwa razy duchem się modliłam, aby i dla ciebie miał swe miłosierdzie...

Baruch coraz większej nabierał pewności, że słowa Proroka były świętą wyrocznią, lecz nie chciał jej tego powiedzieć. Natomiast zebrawszy odwagę, prosił ją, aby z przyjaciółki stała się oblubienicą i weszła w dom jego, po błogosławieństwo Racheli. W odpowiedzi, rozpromienione dziewczę zarzuciło mu swe miłe ramiona na szyję i wyraziło swą niezmierną radość: Oto się spełnia życzenie mej duszy...

A zaiste ,nie było ludzi szczęśliwszych na świecie! W sercu ślepca rodzić się począł ten sam urok, jaki go przejął w chwili, gdy całował nogi śpiącego Proroka, ten sam bezmiar nadziei... I tak zeszli ze wzgórza, ona go wiodła ostrożnie, bacząc, by o wystające kamienie nie obraził nogi... Wreszcie otwarły się wrota izdebki Racheli: Matka nie spała jeszcze, a widząc wchodzącą córkę Faryzeusza o tak późnej porze, byłaby może podniosła głos oburzenia, bo wszakże to gwałt zwyczaju i gwałt dobrej sławy; ale zbrakło czasu. Urocze dziewczę padło przed nią na kolana i rzekło: Przyjm mnie za córkę, mateczko Rachelo...

— I daj nam błogosławieństwo w Imię Pana — dokończył Baruch.

— A wszakżeś piękna jak zorza i zdrowa... zali nie widzisz, że syn mój kaleką? — zapytała zdumiona Rachela.

— Nie widzę! Jestto bohater, dla którego wdzięczność w mem sercu nie zgaśnie!

— I w mojem twe imię nie zgaśnie dzieweczko — mówił ślepiec. — Matko, iżbyś nas pobłogosławiła, taka wola Pana!

Stopniowo wzrastać poczęło wzruszenie Racheli, gdy rozważała to podwójne poświęcenie, w końcu rzekła:

— Bądźcie błogosławieni w Imię Pana, a pokój niebieski niechaj na was wstąpi...

Przez chwilę stał Baruch jakby skamieniały, podobny do żony Lota, zmienionej w słup soli, a potem wydarł się z ust jego głos potężny, skupiający w sobie niezmierzoną radość:

— Mateczko ukochana, przejrzałem!

(Ciąg dalszy nastąpi)

O tem, co się chętnie dwa razy mówi, gdy się widzi.

Z winy samego człowieka, otoczonym on został zdradliwą siecią codziennych złych przyzwyczajeń, za które tak obfity haracz składa złej stronie życia i śmierci. Nałogi w które wpadliśmy nieopatrznie, zasłaniają sobą prawdziwy stan rzeczy, nerwy nasze są napięte, umysł przepełnia gorycz, często o błahostkę, często bezimienna. Starzejemy się szybko, tracimy zęby, wzrok, słuch, po kościach gospodaruje reumatyzm, moczowody u nas nie w porządku, do rzadkości należy dobre wypróżnienie, a wszystko to dlatego, że sprzeciwiliśmy się Przyrodzie i jej prawu. Kawa, herbata, rosół, mięso, tytoń, alkohol i złe powietrze zabijają nas zwolna, ale pewnie i one to są sprawcami tej zastraszającej statystyki. Gdy dwu ludzi straci majątek doszczętnie, a jeden z nich żył wedle prawa Przyrody, drugi natomiast przyjmował krew rozpalające używki, to rezultat będzie ten, że pierwszy westchnąwszy, rozpocznie starania nad odbudową z całą energją i spokojem, podczas, gdy drugi często bardzo klęski przeżyć nie może: zabija go przeciwny los. Toż samo ma się z chorobami. Giną ci, u których siła żywotna została wyczerpana, a iluż jest takich, co giną z lada grypy i nieżytów różnego rodzaju, nie mówiąc już o tyfusie! Odporności zbrakło, choć dany człowiek wyglądał należycie, był w kolorach, krzepki, silny, wesoły! Iluż ludzi z talentami, mogłoby pożytecznie pracować, gdyby nie ta neurastenja, ten rozstrój nerwowy niewiadomo skąd się biorący, na który w żadnej aptece środka niema, choć go zapisywał słynny pan profesor wszech nauk!

A jak się rozpowszechnia cherlactwo na wsi? Przez obżarstwo i niechlujstwo. Obżarstwo polega na przyjmowaniu ogromnej ilości potraw, jedzonych łapczywie i dobrze nieprzeżutych, a w następstwie źle przetrawionych i zalegających w kanale wydzielczym, po drugie, objadanie się na wieczór, poczem zaraz kładzie się spać w izbie niemożliwie dusznej, smrodliwej. Taki zwyczaj sprzyja rozwojowi cherlactwa, bo jest stale uprawianem podwójnem zatruciem, wynikającem z nienależytego trawienia i zalegania z powodu braku prawidłowego utleniania przez niedostatek dobrego powietrza. Stąd ta chłopska przysłowiowa ociężałość, gnuśność i ciężkie myślenie.

Przez niechlujstwo z powodu całkowitego zaniechania czystości zewnętrznej skóry, na której wszystkie potne otwory są pozatykane brudem i przezto lwia część trujących materyj powstaje w organizmie, nie mogąc się zeń wydobyć — i jeszcze przez zgubny zwyczaj sypiania w odzieniu, odbierając skórze możność oddechania (gdyż skóra też oddecha), tak koniecznego do utrzymania dobrego trawienia i czystości krwi. Gdybyśmy na wsi zaprowadzili przymus pod tym względem ze stanowiska hygjeny i pozakładali łaźnie parowe, mielibyśmy znaczny przyrost rasowej ludności. Ale któż dba o taką drobnostkę jak chłop! Alboż my dbamy lepiej o siebie? Mamy cały legjon zbrojnych w naukę i okulary lekarzy, tysiące szczepionek, setki zdumiewających specyfików i dobrze zaludnione... cmentarze. Ufni w swoją wiedzę i sztukę wypływającą z prosektorjum i chemicznej pracowni, odrzuciliśmy Przyrodę i potraktowali tę naukę zarozumiale, ale... zdrowia jak nie było tak niema; ciągle spodziewamy się go od generacji, tylko niewiadomo której. Bo ta dzisiejsza zbyt szybko dojrzewa i znacznie lepiej... hula od poprzedniej. Nic nie słychać o reformie odżywiania, o poprawie stosunków hygjenicznych w domach, ani o tem, żeby matki nauczyły się raz wiedzieć w jakim celu rodzą dzieci, gdyż zdechlaków i kretynów dziedzicznie obarczonych już jest dość. Coś więcej trzeba niż umieć przekarmiać i tuczyć, trzeba umieć wychować wedle praw Przyrody, aby wyrósł naród silny, ruchliwy i samodzielny, wyzwolony z niewoli nałogów i cherlactwa. Ale myśmy sobie wyrobili conajmniej dziwaczne pojęcie o zdrowiu. Nam się zdaje, że w słojach aptekarskich zamyka się całe bezpieczeństwo, a my tymczasem możemy śmiało obżerać się i popuszczać pasa, pić po szewsku i wyczyniać cały szereg nadużyć, niebacząc jak zwolna przemieniamy się w istoty żyjące sztucznie, a nędznie. Zdrowie moi kochani, to idea wymagająca pracy, rozumu i troski i wtedy dopiero można mówić o prawdziwem szczęściu i wypracowanym skarbie. Wszak nikogo to nie dziwi, że trzeba pracować, gdy się chce coś mieć, bo to jest jasne, czemuż więc nie jest jasne, że trzeba pracować, aby być zdrowym? Czytasz romansidła i na wiele innych głupstw czas wolny tracisz, dlaczego nie czytasz dzieł o zachowaniu zdrowia? Czemu do dziś nie wiesz, co w przedmiocie tym napisano?

Gdy będziesz miał tęgie bary i potężne pięści, to i złodziej do ciebie nie przyjdzie: naród tęgi, wytrwały i silny, nie będzie się bał jakiegoś tam Niemca czy bolszewika, bo jest silniejszy, zdrowszy i dłużej żyje. W tem jest siła! W tem leży wyzwolenie narodu, zatem do roboty! Gawędy mają na celu oświecić cię ile możności dokładnie i dlatego zaczynają się o pojęciu o Bogu jako wszechpotędze, byś łatwiej pojął od kogo zależysz. Byś nie lekceważył praw, które tobą rządzą, bo choć jesteś mądry, nawet przemądry, zawsze w końcu wystrychną cię na dudka. I będziesz miał żal po niewczasie, w zanadrzu nędzę, szpital w domu, ot dorobek pospolity, dziś bardzo, chociaż zgoła niepotrzebny.

Pomału idziemy naprzód, trzeba bowiem stopniowo wżyć się w ideę, tak jak praktykant rozpoczynający zawód jakiś, rozejrzeć się w nim wpierw musi, nim go zacznie wykonywać.

Będę wam mówił następnie, w jaki to sposób powstaje choroba i jak się rozwija. Wykład ten będzie podawany zwolna i tak, aby go i dziecko zrozumieć mogło, a cieszyć mnie wielce będzie, gdy choć kilkunastu z was kochani czytelnicy, naukę tę do serca weźmie.

Już przedtem wiele dobrego na polu lecznictwa ludowego, położył zaszczytnie znany i nieśmiertelny ksiądz Sebastjan Kneipp. Wielki to był Człowiek, znakomity Duszpasterz i znakomity lekarz. Jako ten ostatni częste miał zatargi ze sprawiedliwością, jako nieposiadający patentu „wszechnauk" niemniej w imię sprawiedliwości, znosił dzielnie napaści, paręset tysięcy nieszczęśliwych uleczywszy i niejedną generację przed zatratą uchroniwszy, spoczął w Panu, mając lat około 90, jakkolwiek zagrożony suchotami jako uczeń, był podobno nieuleczalnym wedle zdania lekarza.

Ksiądz Kneipp i jemu podobni pracownicy na niwie lecznictwa przyrodniczego, zwanego fizjatrją, stworzyli naukę głęboką, opartą na żmudnem dociekaniu i wiadomości swoje podali drukiem dla dobra ogólnego. Do najlepszych pisarzy w tej dziedzinie należą: Dr. A. Czarnowski, redaktor „Przewodnika Zdro-

wia", ongi wychodzącego w Berlinie, Ludwik Kuhne, wynalazca djagnozy z oblicza, A. Sękowski, bjolog z Bydgoszczy, Dr. Tarnawski z Kossowa i Dr. Breyer z Krakowa.

Zesumowawszy wszystkie myśli tych odkrywców Prawa Bożego, podawać wam będę treść ich do wiadomości. Obyście skorzystali!

Ludwik St. Unsing.



Poradnik gospodarczy.

Dużo korzyści może osiągnąć rolnik z hodowli drobiu. Do drobiu zaliczamy: kury, kaczki, gęsi, indyki i t. p. Najwięcej zysku przynoszą kury.

Prawie przy każdem gospodarstwie chowają kury ale nie zawsze z dobrym skutkiem, dlatego, że są one bezrasowe, źle dobrane. I tak są kury, które znoszą rocznie do 180 jaj.

Niedawno pisały gazety, iż jakiś Niemiec wyhodował nową rasę kur znoszących 240 jaj rocznie, zaś gazety dni ostatnich doniosły, iż we Wiedniu udało się wyhodować kurę, która znosi 320 jaj rocznie. Inne kury są dobre do tuczenia na mięso, zaś niosą słabo. Inna rasa daje doborową szybko rozrastającą się młodzież. Jest rasa kur, które prawie że nigdy nie chcą wysiadywać młodych i t. d.

Nas najwięcej powinna obchodzić rasa kur, która dobrze niesie.

Na naszej ziemi najwięcej rozpowszechniona jest rasa krajowa o pięknej budowie ciała, średniej wielkości. Upierzenie rozmaite najczęściej kuropatwiane lub białe, nogi niskie nieobrośnięte barwy zielonej od czego otrzymały nazwę zielononóżki. Posiadają duże przymioty, gdyż są bardzo nośne, odporne na zmiany klimatyczne. Odznacza się ta rasa wielką przedsiębiorczością w wyszukiwaniu pożywienia, są dobremi kurkami. Inna rasa zagraniczna bardzo użyteczna i rozpowszechniona u nas i odznaczająca się dużą nośnością, to tak zwane włoszki (Leghorny). Nadają się bardzo do tuczenia, są silne, średniej wielkości, szyja u nich dosyć długa, ogon szeroki, u koguta sierpowaty. Nogi nie opierzone. Grzebień duży zwieszony, tarczki przyuszne jajowate białe.

Rasa amerykańska „Wijandottów" u nas często spotykana, odznaczają się silną majestatyczną budową. Kolor piór biały, srebrny, złoty lub złoto-niebieski. Dobre do tuczenia ale mniej nośne.

Najważniejszą rzeczą przy chowaniu kur, aby były dobrze żywione i w zimie trzymane ciepło, a wtedy dobrze niosą.

Rodzina kur składać się winna 10—12 kur i jednego koguta.

Kury nie powinny być starsze nad lat cztery. Starsze niosą słabiej i nie są odporne na różne choroby.

Do wylęgu należy brać jaja od kur najlepszych. Sadzić do chowu należy z końcem zimy do maja.

Sadzone później dobre są kurczęta na rzeź. Gniazda powinny być czyste i ciepło zbudowane.

Po czterech dniach należy jaja przejrzeć i te, które okazują ciemną plamkę w środku, zostawić jako dobre, zaś resztę jasnych wyjąć, gdyż te są nie zapłodnione.

Kurczęta lęgną się po 20—23 dni.

Na drugi dzień po wykłuciu kurczętom dajemy jaj a ugotowane na twardo i drobno posiekane, zaś poimy je wodą i mlekiem.

Później dostają bułkę lub okruchy chleba, kaszę gotowaną, a gdy podrosną, można powoli przejść do karmienia ziarnem.

Młode kurczęta należy trzymać czysto w miejscu suchem, gdyż łatwo zapadają na różne choroby.

Najważniejszą chorobą kur jest powszechnie znana cholera drobiu, która w przeciągu kilku dni może wybić drób w całej okolicy.

Należy więc dawać baczną uwagę na drób, a chore osobniki odłączyć i zaopiekować się nimi, aby nie sprowadzić zarazy. *Jan Matysik.*

Poradnik lekarski.

Szum w uszach. Bardzo skutecznym środkiem przeciw szumowi w uszach, jest parowanie głowy gotowanem prószem sianowem lub rumiankiem (20 minut) na odmianę, raz w prawe, raz w lewe ucho; lub w oba uszy nakapać 5 kropli słodkiego olejku migdałowego (ogrzanego); dziennie trzy razy pić 25—30 kropli tynktury arnikowej oraz herbatę, z tysiącznika (centurji i piołunu).

Reumatyzm, reumatyzm stawów. Bardzo bolesną dolegliwością jest reumatyzm. Objawy cierpienia: febra, zatwardzenie stolca, silne boleści w pojedynczych członkach, lub stawach, niemożliwość poruszania bolącym członkiem, boleści w okolicy serca, bicie serca, wskazują na komplikacje z zapaleniem serca. Przyczyny: zimno, wilgoć, szczególnie przy siedzeniu na zimnej podłodze. Nagromadzenie się moczokwaśnych soli w chrząstkach stawowych i tychże sąsiedztwie. Leczenie: okłady z prósza sianowego; gotuje się herbatę: jałowiec roztarty, głóg i kora szakłaku miesza się w różnych częściach; z tej mieszanki bierze się na trzy ćwierci litra wody, dwie napełnione łyżki, daje się sok 15 minut gotować i pije się z tego co rano i wieczór po filiżance. Boleści znikają zazwyczaj po 1—2 dni.

Wypadywanie i zanik włosów. Niejednokrotnie przyczyną wielkiego zmartwienia jest wypadywanie i zanik włosów. Środkami zapobiegawczymi są: pielęgnowanie włosów i głowy, częste zmywanie mydłem niedrażniącem i łagodnem, rano i wieczorem masaż głowy, 2—3 zmywania głowy w tygodniu odwarem łopianu (2—3 łyżki pokrajanych korzeni łopianu do jednorazowego mycia). Aby zapobiec zbytniemu pozbawieniu tłuszczu, naciera się skórę głowy od czasu do czasu dobrym olejkiem na włosy. Zazwyczaj znika po takiej kuracji łupież oraz wypadywanie włosów już po 4—6 tygodniach.

Myśli.

Przyjaciela szczerego poznasz tylko w biedzie:
Bo fałszywy cię zdradzi, skoro los zawiedzie.

☆

Po czem poznać głupka? — że śmierdzi od pychy:
Gdyż prawdziwie mądry: i skromny i cichy.

☆

Nad kim los wyrzekł straszne anathema:
Szczęścia na ziemi dla takiego niema.

☆

Jako drzewku młodemu potrzeba podpory —
Tak i duszy młodzieńczej do odchyleń skorej.

Albatros.

KRONIKA.

Niecodzienni oszuści. Policja rzeszowska wpadła na trop niezwykłej afery oszukańczej. Przy sposobności aresztowania za kradzież rzeszowskiego złodzieja Andrzeja Pusia, okazało się, iż miał on odsiadywać w Łodzi karę 1-rocznego ciężkiego więzienia, zmniejszoną przez sąd apelacyjny do trzech miesięcy. Jak stwierdziły dochodzenia, Puś umówił się z kolegą po fachu, również Rzeszowianinem, Wojciechem Pielą, że ten za 50 dolarów odsiedzi za niego karę w Łodzi. Piela udał się do Łodzi i wszedł w porozumienie z manipulantami sądu karnego Zdzisławem Podczaskim i Maksem Reinholdem, którzy za 70 złotych zgodzili się na to, aby Piela odbył karę za Pusia. Zaznaczyć należy, że Reinhold ma za sobą 23 lata służby sądowej. Afera wyszła na jaw dzięki czujności powiatowego komendanta policja Krupy i kierownika wydziału śledczego w Rzeszowie, Zielskiego. Przeciwko Pusiowi i Pieli wszczęła prokuratura śledztwo o zbrodnię oszustwa, zaś Podczaskiego i Reinholda osadzono w aresztach śledczych.

Milczący człowiek. Przed kilku dniami zmarł w domu rabina w Czortkowie w 80-tym roku życia człowiek, który przez lat 30 milczał. O śmierci jego dowiedziano się przypadkowo, kiedy służący zauważył, że z komina łączącego jego piec, nie wychodzi dym. Milczący człowiek nazywał się Zew Samuel Frommer i urodził się w roku 1846 w Radomiu. Z początku zajmował się kupiectwem, handlując żelazem. Już wówczas był znany jako światowy znawca Talmudu i literatury żydowskiej. Przyczyna jego milczenia była następująca: Przed 30 laty topił on w mieszkaniu ołów z miedzią. W stopie znajdował się jakiś materjał wybuchowy, a naczynie, w którem dokonywał stopu, pękło i zabiło jego żonę i dwie córki. Od tego czasu Frommer zaniedbywał swoje interesy, a wkońcu oświadczył, że chce żyć w samotności i zejść z oczu ludzi. Po naradzeniu się z rabinem w Lublinie wyjechał do Czortkowa, gdzie zamieszkał na dworze rabina czortkowskiego. Mieszkał on tam w dwóch pokojach, w których nie było podłóg. Jedynymi sprzętami była wielka szafa z książkami, stół i stołek. Przy stole tym zwykł był całemi dniami i nocami przesiadywać i uczyć się. Jakkolwiek rabin z Czortkowa pozwolił mu niejednokrotnie mówić, to jednak nie wypowiedział on ani jednego słowa. Frommera obsługiwało dwóch ludzi. Poza tem nikogo do siebie nie dopuszczał. Do 4 tej godziny popołudniu zwykł był się modlić, potem studjował do godz. 11-tej w nocy. O tej porze spożywał posiłek, składający się z chleba i wody i oparłszy głowę o stół, zasypiał na pewien czas. Każdego piątku kazał wylewać na siebie siedm konwi wody. Zmarły pozostawił cenne rękopisy, zawierające różne legendy religijne. Wszystkie rękopisy przesłano do archiwum naukowego w Berlinie.

Czworaczki. Z Bytomia donoszą, że żona buchaltera tamtejszego, Dernera, powiła w tych dniach cztery dziewczynki. Każde z tych czworaczków waży trzy funty i wszystkie są zupełnie zdrowe. Warto zaznaczyć, że na Śląsku Górnym i w roku ubiegłym przyszły na świat czworaczki, dotychczas żyjące.

Tragiczny skok obłąkanej. W Poznaniu miał miejsce przy ulicy Krętej wypadek ścinający krew w żyłach. Na dachu 5-cio piętrowego budynku przy ul. Krętej L. 5, zauważono postać kobiety, która z rozwianym włosem schodziła po śliskim dachu. Jeden z przechodniów zaalarmował straż pożarną. Tymczasem kobieta straciła równowagę i na oczach przerażonych widzów poczęła staczać się z dachu, krzycząc przeraźliwie. W pewnym momencie runęła na dach sąsiedniego zabudowania, nieco niższego i zahaczając się od czasu do czasu toczyła się dalej ku brzegowi dachu, aż do rynny, którą nieszczęśliwa schwytała kurczowo. Nie mogąc się jednak utrzymać długo, puściła rynnę, zahaczając się jednocześnie o wystający kawał żelaza i tak zawisła między niebem a ziemią. Dopiero przybyła na miejsce wypadku straż pożarna zdjęła z haka omdlałą z bólu i przerażenia kobietę, odwożąc ją do lecznicy miejskiej, gdzie stwierdzono u nieszczęśliwej złamanie lewej nogi oraz silne wstrząśnienie wewnętrzne. Jak zdołano stwierdzić, nieszczęśliwą jest 50 letnia Marjanna Nowak, która od dłuższego czasu cierpi umysłowo.

Wesele w śniegu. W górskich okolicach czasami śniegi spadną tak wielkie, że przez wiele dni nikt ruszyć się z domów nie może. W pewnej tyrolskiej wsi zapowiedziane było wesele córki bogatego gospodarza. Do kościoła było daleko, a śnieg spadł wielki. Trzeba było jechać przez górę i las. Młodym się spieszyło i nie chcieli ślubu odkładać tymbardziej, że ojcowie przygotowali wszystko na oznaczony dzień.



Wybrali się więc saniami o godzinie 7 rano w drogę i myśleli, że przecie w trzy godziny odbędą drogę, na którą w lecie trzeba było tylko trzy kwadranse. Ale stało się inaczej. Konie nie mogły ciągnąć sani przez wielkie śniegi i co chwila musieli mężczyźni wysiadać, aby rozkopywać drogę z pod śniegu. Zamiast na godzinę 10 rano, przyjechali na godzinę 8 wieczór i wesele dopiero nazajutrz się odbyło.

Wynagrodzona krzywda. Nazywał się Antoni Gortatowski. Rzucił wszystko i pojechał, jak mówił, do Branzylji. Właściwie nie wiele co miał do rzucenia: był chłopem bezrolnym, sługiwał za parobka po folwarkach, całą chudobę mieścił w kuferku. Co mu ta? Machnie ręką i póńdzie w świat. Dobrze, a Franka? Prawda, Franka. Dobra dziewucha i taka ci przymilna. Obżeniłby się z nią, jako że tera nawet powiada, że matką będzie — ale tak bez całe życie bide klepać? Pojedzie do Branzylji, a jak się tam dorobi to Frankę sprowadzi i obżeni się z nią. No i pojechał. Co się nabuczała Franka, a co się wstydu najadła, kiej z dzieciakiem na rękach chodziła! A on pojechał, wprawdzie nie do Brazylji, lecz do Stanów Zjednoczonych, — tam pozostał. O France nie zapomniał, ale jakoś mu się nie składało z tem sprowadzeniem jej. Minęło lat trzydzieści. Franka już dawno ziemię gryzła, kiedy w Ameryce zmarł, dorobiwszy się grosza, Antoni Gortatowski, ojciec dziecka Franki i cały posiadany majątek temu dziecku zapisał. Testament głosił wyraźnie, że spadek przypada w udziale dziecku Franciszki Klonowskiej, urodzonemu w roku 1897. Tak, ale jak znaleźć to dziecko? Po wyjeździe Gortatowskiego Franka porzuciła wieś rodzinną i poszła

z dzieckiem w świat. Sprawą tą zajęły się władze, lecz bez wyniku. Dopiero obecnie po dwu latach od chwili ogłoszenia spadku, zgłosiła się do władz obywatelka ziemska z okolic Rypina, p. Gwiazdowska i oświadczyła, iż w jej folwarku pracuje jako parobek Piotr Klonowski, urodzony w r. 1897, syn Franciszki Klonowskiej niewiadomego ojca. Bliższe dochodzenie ustaliło, iż ów Piotr jest właśnie poszukiwanym spadkobiercą. I oto biedny parobek po paru miesiącach otrzymał znaczny, bo 10 tysięcy dolarów wynoszący spadek i jest dziś człowiekiem zamożnym. A tam w zaświatach duch porzuconej Franki przebaczył duchowi tego, który ongi tak ją skrzywdził, a który teraz czynem swym dawną winę wynagrodził.

Tragiczny ślub. W miasteczku Dąbrowice pod Kutnem, odbywał się ślub 18-letniej Beli Lipowiczównej, córki miejscowego właściciela zajazdu, z 26-letnim Judą Krohmanem, właścicielem sklepu galanteryjnego w Płocku. Gdy młoda para stała już pod baldachimem i rabin udzielał jej błogosławieństwa, zajechał w całym pędzie przed dom samochód, z którego wysiadł 35-letni przyjaciel pana młodego, Stefan Florczyk, ubrany we frak i białe rękawiczki. Wszedłszy do pokoju, w którym odbywała się uroczystość zaślubin, Florczyk wydobył momentalnie z kieszeni rewolwer i oddał najpierw dwa strzały rewolwerowe do Krohmana, raniąc go w brzuch i w głowę, dalsze dwa strzały do Lipowiczównej, która odniosła ciężkie rany w brzuch i pachwinę, a ostatnimi dwoma strzałami położył sam siebie trupem na miejscu O tem, co było przyczyną tej krwawej tragedji, wnioskować można z depeszy, jaką znaleziono w kieszeni Florczyka. Brzmi ona tak: „Stefan Florczyk, Płock. Ratuj dwa życia. Przyjeżdżaj natychmiast, gdyż rodzice przemocą wydają mnie za Krohmana — Lipowiczówna". Z dalszych dochodzeń wynika, że Florczyk, jako człowiek żonaty i dzietny, poznał przez Krohmana, który był jego przyjacielem osobistym, Lipowiczównę i zakochał się w niej z wzajemnością. Rodzice Lipowiczównej, chcąc przerwać ten stosunek, przyspieszyli termin ślubu, który skończył się tak tragicznie. Stan Lipowiczównej i Krohmana z powodu odniesionych ran jest bardzo ciężki.

Tajemnicze zjawisko natury. We wsi Nowosiółki na Wołyniu zdarzył się ciekawy wypadek, który poruszył całą okolicę bliższą i dalszą. Oto pewnego dnia przerażeni mieszkańcy usłyszeli jakieś głuche grzmoty, niby odgłosy wulkanu, wydobywające się z głębi położonego obok pagórka. W obawie przed wybuchem „wulkanu", ludność opuszczała w panicznym strachu swe domy i uciekała daleko w pole. Pagórek otoczono kordonem, który śledził dzień i noc tajemnicze zjawisko. Po paru dniach wszystko się uspokoiło tak, że mieszkańcy z powrotem wprowadzili się do mieszkań. Dotąd jednakże jeszcze z niedowierzaniem patrzą na pagórek, spodziewając się wciąż wybuchu. Co było powodem wydobywających się z głębi pagórka odgłosów, nie zdołano stwierdzić.

Nowe złoża węgla na Węgrzech. Podczas robót około wiercenia nowej studni w okolicach gminy Suemeg na Węgrzech natrafiono na bogate złoża węgla. Przeprowadzone badania wykazały, że chodzi tu o węgiel dobrej jakości.

Odgryzł język żonie. W Budapeszcie żyło małżeństwo nazwiskiem Sas. Para ta od dłuższego czasu żyła w niezgodzie. Władysław Sas przed trzema laty poślubił o 10 lat starszą od siebie wdowę. Pani Sas mimo lat 40 miała jeszcze licznych wielbicieli. Ciągłe sceny zazdrości doprowadziły małżonka do wdrożenia sprawy rozwodowej. Istotnie rozwód został sądownie przeprowadzony, ale Władysław Sas nie mógł przeboleć utraty żony, którą jeszcze kochał. Niejednokrotnie próbował on pogodzić się z nią i wreszcie przed trzema miesiącami zdołał uzyskać jej zgodę. Sas wprowadził się ponewnie do mieszkania swej rozwiedzionej żony. Kiedy jednak sceny zazdrości zaczęły się powtarzać, pani Sas pokazała swemu mężowi drzwi. Od tego czasu Sas prześladował swoją żonę pogróżkami. Co dnia otrzymywała od niego listy z zapowiedzią, że gdyby nawiązała stosunek miłosny z innym mężczyzną, to nie minie ją straszliwa zemsta. Kobieta nie dała się jednakowoż zastraszyć i wreszcie pewnego razu napisała do męża otwarcie, że zamierza wstąpić w nowe związki małżeńskie. Żąda, aby dawny mąż przestał ścigać ją swoją miłością. Odtrącony małżonek postanowił uciec się do podstępu. Oświadczył żonie, że pogodzi się z koniecznością i chce tylko jeszcze raz uzyskać spotkanie. Onegdaj w późnej godzinie wieczornej Sas zaszedł do mieszkania swojej dawnej żony i wyszli na przechadzkę. Posiedzieli jakiś czas w kawiarni, poczem Sas odprowadził żonę do domu. Przy pożegnaniu Sas poprosił żonę, aby mu się pozwoliła raz ostatni pocałować. Nie przeczuwając niczego złego, kobieta zgodziła się. Za chwilę straszliwy krzyk bólu wstrząsnął powietrzem i zaalarmował przechodniów na ulicy. Zazdrosny mąż przy pożegnalnym pocałunku odgryzł język żonie. Nieszczęsna padła zemdlona na ziemię. Przewieziono ją do szpitala, a kawałek odgryzionego języka, który leżał na ziemi, policjant zabrał na komisarjat. Stan nieszczęśliwej kobiety budzi poważne obawy. W każdym razie mówić nie będzie mogła. Sas próbuje się tłómaczyć tem, że działał pod nieodpartym przymusem psychicznym.

Rewolta na płonącym okręcie. Z Nowego Jorku donoszą: Pomiędzy oficerami a załogą marynarzy chińskich statku amerykańskiego „Polko" rozegrała się dramatyczna walka podczas objazdu dookoła świata.



Gdy okręt był na pełnem morzu, wybuchł pożar. 120 marynarzy chińskich nie chciało usłuchać rozkazów oficerów, którzy żądali, aby załoga, nie zabierając niczego, czemprędzej opuściła zbliżający się już tymczasem do lądu statek i schroniła się na ląd. Chińczycy chcieli zabrać swoje podręczne pakunki. Dopiero po kilku wystrzałach rewolwerowych i po zabiciu trzech przywódców rokoszu, zmuszeni zostali do opuszczenia płonącego statku. Parowiec „Polko" miał na pokładzie ładunek gumy wartości 100.000 dolarów, który spłonął, a statek zatonął.

Wielka wygrana w grobie. W Barcelonie zgłosiła się jakaś kobieta do odnośnego urzędu z prośbą o ekshumację jej zmarłego męża, a prośbę swoją tem motywowała, że trup nieboszczyka jest ubrany w surdut, w którego kieszeni znajduje się los loteryjny. Niepocieszona wdowa przypuszczała, że „kto wie", może ten las

wygrał. Co jest najbardziej zastanowienia godnem, że istotnie znaleziony los w kieszeni trupa wygrał 5 tysięcy pesetów.

Ślub w lwiej klatce. W Paryżu odbył się w tych dniach niezwykły ślub syna pewnego dyrektora cyrku z młodą pogromczynią dzikich zwierząt. Kawalkada cowbojów towarzyszyła wśród strzałów rewolwerowych młodej parze do urzędu stanu. Błogosławieństwo kościelne odebrała młoda para przez kraty, od znajdującego się na zewnątrz duchownego. Asystę tworzyły w tym wypadku lwy, przyglądające się ze zdumieniem niezwykłym czynnościom swej pani i patrzące trochę z podełba na jej towarzysza.

Chciał zjeść własne palce. Dwaj pijani francuscy legjoniści zgłosili się w pewnej oberży w Casablanca (Algier) i zażądali jedzenia. Gospodarz oberży nie mógł im chwilowo nic sprzedać, wtedy jeden z legjonistów wpadł w szał wściekłości i jednem uderzeniem siekiery obciął sobie wszystkie palce, które kazał następnie gospodarzowi zgotować. Gospodarz wezwał pomocy policji. Tymczasem drugi legjonista usiłował również obciąć sobie palce, ale skaleczył się tylko silnie. Dzięki pomocy żołnierzy udało się związać dwóch pijanych szaleńców i odwieźć do szpitala. Stan legjonisty, który obciął sobie palce, jest groźny.

Kościół na dnie morza. Rybacy z miasteczka The Naze w Anglji byli onegdaj świadkami niezwykłego zdarzenia. Jeszcze przed więcej niż 100 laty morze zalało połowę miasteczka wraz z kościołem. Onegdaj podczas odpływu odsunęło się dalej niż zazwyczaj od brzegów, a wówczas w odległości czterech kilometrów z pośród ustępujących fal wyłonił się zatopiony kościół, obrosły wodorostami morskiemi. Wrażenie było przejmujące, ludzie padli na kolana. Starzy rybacy opowiadają, że przepływając na barkach ponad zatopionym kościołem, słychać w pewnych dniach głos dzwonów, idący z dna morskiego.

Tragiczna scena w samolocie. Kapitan lotnik Lanaaster i pani Keith Miller, którzy odlecieli z Londynu do Australji, pragnąc zdobyć rekord światowy, byli bohaterami przygody, która mogła skończyć się dla nich tragicznie. Samolot ich przelatywał właśnie nad Tavoy (Birmanja), gdy pani Miller spostrzegła za kapitanem Lancasterem, który pilotował, bardzo dużego węża, który gotował się do ataku na kapitana. Kapitan nie mógł ani na chwilę wypuścić z rąk sterów i groziła mu pewna śmierć od ukąszenia. Wtedy pani Miller z zimną krwią odwróciła uwagę węża od kapitana i zwróciła gada przeciw sobie. Przy pomocy jakiegoś narzędzia, które miała pod ręką, zadała wężowi kilka tęgich ciosów i uśmierciła go. Samolot przybył do celu, a oboje podróżni zostali przyjęci gorącemi oklaskami.

Odwet murzynów. Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych nietolerancja murzynów przez białych dochodzi tak daleko, że nawet w Stanach Północnych, które walczyły ze Stanami Południowemi za zniesieniem niewolnictwa, biały nie usiądzie w wagonie kolejowym obok murzyna, nie zajmie w restauracji miejsca przy stole, przy którym siedzi murzyn, choćby murzynem był doktór filozofji lub miljoner. Unika nawet uczęszczania do hotelów i restauracyj, do których murzyni mają dostęp. Słowem, murzyn jest tam, zwłaszcza dla kobiet, obywatelem drugiej klasy, z którym unika się stosunków towarzyskich. Obecnie jednak murzyni nowojorscy znaleźli sobie odwet przynajmniej na jednym punkcie. Oto na wybrzeżu Atlantyku, niedaleko Nowego Jorku, powstała w bardzo pięknem położeniu nowa miejscowość kąpielowa, Bar Harbor. Usłyszawszy o tem, pewna biała rodzina nowojorska udała się do owego kąpieliska, jakież jednak było zdziwienie, gdy ujrzała tam wyłącznie przedstawicieli rasy czarnej i dowiedziała się, że nikomu z białych nie wolno zatrzymać się w tych kąpielach choćby tylko godzinę. A Bar Harbor posiada nietylko piękne miejsce kąpielowe, ale powstały tam już dwa wielkie hotele, restauracje, kinematografy, sale zabawowe — słowem wszystko, co potrzebne jest gościom kąpielowym do wygody i przyjemności. Inicjatorem tego odwetu murzynów jest słynny w Ameryce agitator za równouprawnieniem rasy czarnej, sam murzyn, Garvey, który przez swój pomysł dał możność zamożnym swym współplemieńcom swobodnego używania wywczasów letnich.

Słuchaczka własnej mowy pogrzebowej. Z Nowego Jorku donoszą: Na Fanny Broyles, młodą dziewczynę, mieszkankę miejscowości Julary, w stanie Wirginja, zwaliło się drzewo i tak silnie zraniło ją w głowę, że wpadła ona w stan katalepsji i leżała jak martwa. Sądzono tedy, że umarła i postanowiono ją pochować, Rzekomą nieboszczkę, która nie mogła oczu otworzyć, ani wykonać żadnego ruchu, ułożono w trumnie i słyszała ona modły, odprawiane nad sobą, oraz mowę pogrzebową, którą wygłosił miejscowy pastor. W tej właśnie chwili, gdy duchowny miał pobłogosławić ciało, poczem miano zabić wieko trumny, brat zmarłej rzekomo dziewczyny krzyknął przeraźliwie. Oświadczył on, że zauważył, iż jedna z powiek nieboszczki lekko drgnęła.



Zawezwano natychmiast lekarza, który przedsięwziął energiczne środki wskrzeszenia mniemanej nieboszczki. Fanny Broyles przychodzi obecnie zwolna do zdrowia. Wskutek przestrachu, wywołanego tak niezwykłą sytuacją, uległa ona nerwowej chorobie.

900 robotników pod ziemią. Z West Frankfort, w Ameryce donoszą, że w jednej z tamtejszych kopalni głębokości 600 stóp, nastąpiła eksplozja gazów, która zasypała ziemią 900 górników. Przeważna część zasypanych została uratowana, z wyjątkiem 24 górników, którzy uchodzą za straconych. Dotychczas wydobyto dwa trupy. Prace ratunkowe są bardzo utrudnione z powodu gazu wypełniającego szyby. Przy zejściu do kopalni rozgrywają tię tragiczne sceny rodzin po zaginionych górnikach. Jeden z uratowanych opowiadał, że w zasypanym szybie widział przynajmniej 10 trupów.

Harakiri komendantów marynarki japońskiej. W Tokio miał zapaść wyrok w sprawie dwóch komendantów japońskich okrętów wojennych, które zderzyły się podczas tegorocznych manewrów. Jakkolwiek powszechnie przypuszczano, że sprawa skończy się dla nich uniewinnieniem, obaj Japończycy, nie czekając wyroku, popełnili harakiri. (Harakiri jest to samobóstwo przez rozprucie sobie brzucha, wskutek czego wnętrzności wydostają się na zewnątrz, a samobójca umiera powoli wśród ogromnych męczarni).

RZECZY CIEKAWE.

Nadmiar panien w Warszawie.

Według ostatniej statystyki Warszawa liczy 160.000 panien a 70.000 kawalerów. W wieku jednak zdolnym do zamążpójścia, znajduje się panien 90.000, zaś kawalerów 14.000. I dziwić się tu, że panienki wszelkiego wieku i zawodu tak gorliwie łapią mężów!

Walka ze szczurami.

We wszystkich wielkich portach, gdzie znajdują się obszerne składy towarowe istnieją niesłychane ilości szczurów. Szczególnie cierpi na „szczurzą" plagę ruchliwy port amerykański Boston, gdzie dokuczyły one wszystkim tak bardzo, że zorganizowano specjalny bataljon robotniczy, którego zadaniem jest wyłącznie ustawiczna walka ze szczurami.

Aby skuteczniej tępić czworonożnych szkodników, używa się specjalnego gazu trującego, t. zw. cjanidu, który działa na szczury piorunująco. Ponieważ jednak gaz ten działa również śmiertelnie dla człowieka, przeto robotnicy zaopatrzeni są w maski gazowe, butelki z tlenem oraz w specjalne ubrania.

Zauważono, że bardzo dużo szczurów odbywa nieraz dalekie podróże na wielkich statkach transoceanicznych i wreszcie przy przenoszeniu towarów przedostaje się na ląd. Niejednokrotnie robotnicy bostońscy, znajdowali na łapkach zabitych zwierząt obrączki z datą i nazwą miejscowości, gdzie je założono szczurom. Trafiały się napisy Kalkutta, Bombaj, Nagasaki i t. p., co dowodzi, że szczury przebyły setki tysięcy mil przez ocean.

Ostatnio zdarzył się fakt, który przejął grozą wielu mieszkańców Bostonu. Stwierdzono, że na jednym z wielkich statków transoceanicznych, który dopiero co przybył z Kalkutty znajdują się szczury zarażone dżumą. Z obawy, aby straszna zaraza nie przeniosła się na ląd, statek izolowano i natychmiast wysłano nań ekspedycję złożoną z kilku najzdolniejszych „szczurzych katów" wraz z syfonami trującego gazu. Po dwunastu godzinach wytężonej pracy nie było już ani jednego żywego szczura, poczem przystąpiono do starannego dezynfekowania statku.

Bolszewickie święta.

Na rok 1928 ustanowiono w Rosji następujące „rewolucyjne" święta, podczas których nie wolno pracować: 1 stycznia (Nowy Rok), 22 stycznia (rocznica wystąpienia robotników w r. 1925, obecnie święto Lenina), 18 marca (dzień komuny paryskiej), 1 maja (dzień międzynarodówki), 7 i 8 października (rocznica rewolucji komunistycznej w Rosji). Dzień konstytucji sowieckiej obchodzą sowiety w pierwszą niedzielę lipca, w tym roku 1 lipca. Dnia 8 marca, który jest międzynarodowem świętem robotnic, praca ma trwać tylko 2 godziny.

Świąt kościelnych Rosja oficjalnie nie obchodzi, ale w rzeczywistości nikt w nie nie pracuje, ponieważ zostały w drodze dekretu uznane za „specjalne dni odpoczynku". Są to: 14—16 kwietnia (Wielkanoc), 24 maja (Wniebowstąpienie), 4 czerwca (dzień św. Trójcy), 6 sierpnia (Przemienienie Pańskie), wreszcie 25—26 grudnia (Boże Narodzenie).

Różnice między świętami kościelnemi a t. zw. „rewolucyjnemi" są następujące: W święta kościelne niema oficjalnych uroczystości, w przeddzień tychże praca trwa 8 godzin, podczas, kiedy przed świętami rewolucyjnemi nie wolno pracować dłużej, niż 6 godzin.

Kobiety na składzie w różnych cenach.

Biura pośrednictwa małżeństw robią w Chinach znakomite interesy i mogą się pochwalić dużemi obrotami. Prowadzenie jednak tego interesu w państwie niebieskiem różni się w zasadniczych punktach od prowadzenia podobnego przedsiębiorstwa w krajach o białej kulturze.

Do dziś dnia utrzymuje się w Chinach starodawny zwyczaj, że za kobietę płaci się określoną sumę zależną od jej piękności i innych wymaganych zalet.

Ten więc, kto chce sobie otworzyć w Chinach skład z kobietami, nie posługuje się, jak jego europejscy koledzy albumami z fotografjami kandydatek do małżeństwa, lecz musi je nabywać za gotówkę od ich rodziców i w ten sposób mieć bogaty asortyment towaru na składzie na własne ryzyko.

A że jest to interes wymagający dużego wkładu gotówki, zaświadczy chociażby cena, która za jedną sztukę wynosi 20 do 100 funtów szterlingów.

Przedsiębiorstwo to jest obliczone głównie na eksport, t. j. na dostarczanie żon tym Chińczykom, którzy wyemigrowali z ojczystego kraju do Ameryki, Europy czy Australji i dlatego mają duże trudności w wyszukaniu sobie towarzyszki życia swej narodowości. Głównie więc z tego rodzaju klijentami mają do czynienia małżeńscy eksporterzy Pekinu, Honghongu i innych wielkich miast Chin.

Zapotrzebowanie handlowe oddalonego od ojczyzny syna państwa niebieskiego brzmi mniej więcej jak następuje: „Ja zamożny kupiec w Cincinnati, syn państwa niebieskiego, pragnę wstąpić w związki małżeńskie z kobietą ojczyzny mojej. Pochodzę z nad brzegów najwspanialszej i najpiękniejszej rzeki świata, przejrzystego Jangtsekiangu i żona moja winna być również nad brzegami jego zrodzona. Musi ona mieć balsamiczny oddech, tchnący zapachem cudownych sosnowych lasów koreańskich! Jej paznakcie muszą mieć 4 cale długości a dłoń jej miękkość brzoskwini! Najmniejsze nóżki, jakie kiedykolwiek posiadała kobieta, winny ją zdobić. Wiek jej lat piętnaście. Niechaj będzie dziewicą, która nigdy dotychczas nie opuściła domu rodzicielskiego. Zęby jej niechaj białe będą jak kość słoniowa. Rzęsy jej długie i wygięte, a oczy niechaj promienieją jak gwiazdy!

Poetyczne to „zapotrzebowanie" zostaje natychmiast przez firmę załatwione pod warunkiem nadesłania gotówki. „Za zaliczeniem" firma towaru nie dostarcza oraz nie odpowiada za całość jego, jak również za zepsucie, jakie nastąpić może w trakcie długotrwałej podróży.

Sekta nagich.

Jak donoszą dzienniki sowieckie, na Chersońszczyźnie aresztowano kilkudziesięciu chłopów pod zarzutem naruszenia obyczajności publicznej. Chłopi należeli do rozpowszechnionej na Chersońszczyźnie nowej sekty religijnej pod nazwą „sekta nagich". Sekta głosi wyrzeczenie się wszystkich dóbr ziemskich i wspólną własność nieruchomości i ruchomości. Podczas modlitw członkowie sekty rozbierają się do naga i biczują się wzajemnie do krwi.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

J. Czopek z Francji dla Maćka 4 franki, Jan Jakóbiec dla Maćka 70 gr., Andzia Onderkowa z Karwiny 2 kor. cz. dla Maćka, Wład. Soból z Iwanicz 50 gr. dla Maćka, Kohut Antoni z Istebnej 2 zł. dla Maćka.

Losowanie nagród dla prenumeratorów całorocznych odbędzie się w przyszłym miesiącu.

Zgubiono dokument wojskowy na imię Tomasz Rutyna urodzony we Furmanach 1895 roku, zamieszkały w Sokolnikach powiat Tarnobrzeg

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Ludwik St. Unsing** w B.: Przedewszystkiem przesyłamy serdeczne gratulacje z powodu szczęśliwego zdarzenia. Druk powieści „Getsemane" zaczniemy zaraz po ukończeniu „Wskrzeszenia Łazarza". Czy nie zechciałby Pan zrobić z niej odbitki książkowej? — **Józef Kapuściński** w L.: Poziom każdego pisma musi się stosować do ogółu czytelników, a nie do jednostek. Nie sztuka wprowadzić styl wybredny i zawiłą treść, ale kto wówczas będzie takie rzeczy czytał. Wszak i w Polsce są pisma stojące na bardzo wysokim poziomie literackim, ale prowadzą żywot suchotniczy z powodu braku prenumeratorów. W losowaniu nagród będą brać udział wszyscy całoroczni prenumeratorowie. — **Władysław Kuglin** w K.: Wierszyk otrzymaliśmy. — **Władysław Biedroń** w P.: Owszem, chłopców takich przyjmują do Małego seminarjum duchownego. Najlepiej w sprawie tej zwrócić się do Konsystorza w Krakowie, a tam udzielą wszelkich informacyj. — **Hela B.** Mydlniki: Zagadki dobre, zamieścimy. — **Nuśka Steuerówna** w K.: Wiersz p. t. „Czarowne tango" dobry, ale nie do „Roli". My nie jesteśmy zwolennikami nowoczesnych tańców, które usunęły tak piękne tańce, jak Mazur, Krakowiak, a choćby Oberek. Dawne tańce były obrazem życia, siły, animuszu, podczas gdy tańce nowoczesne są oznaką zgnuśnienia, słabości, a nawet, jak cherleston, jakiegoś kręćka w głowie. Niech Pani porówna bezstronnie Mazura z takim shimmy. Tam werwa, zawadjactwo, rozkosz, tu tanecznica przyczepiona do mężczyzny, jak pijawka do końskiej nogi. — **Józef Kubik** w K.: Nadesłane zagadki w miarę miejsca zamieścimy. — **H. Biłka-Głębicki** w S.: Pójdą kolejno. — **Piotr Wenc** w S:. Dzień 2 lutego jest nadal świętem uroczystem. Zniesienie go trwało tylko rok. W stosunku do innych pism dajemy zagadki dość łatwe. Czasem trafi się trudniejsza, ale rzadko. — **Jan Węgiel:** Cóż my na to poradzimy? Aby wszystkie nadsyłane nam wiersze zaraz wydrukować, trzebaby nimi zapełnić cały numer. — **Franciszek Smyczyński** w H.: „Rola", jak wskazuje napis pod nagłówkiem, ma służyć ku pouczeniu i rozrywce i zadanie to spełnia w zupełności. Dając artykuły fachowe, stałaby się pismem fachowem, a to nie może być jej celem, gdyż pism fachowych jest dość. Mimo to dajemy jednak „Poradnik gospodarczy" i „Poradnik lekarski", później wprowadzimy i inne „Poradniki". Życzeniu Pańskiemu, aby wyrzucić wiersze i ilustracje nie możemy zadość uczynić, gdyż rzeczy te lubią ludzie o umysłach wyższych, na których poezja czyni większe wrażenie, aniżeli najlepsza proza, zaś ilustracja lepiej rzecz uzmysławia aniżeli najlepszy opis. Co tylko ciekawszego w świecie się zdarzy, to dajemy w „Roli", a że nie zamieszczamy wzajemnych ujadań, jak to czynią gazetki, to chyba tylko nasza zasługa, a nie wina. — **Kazimierz Barnaś:** Czy „Historja Piotrowin" jest Pańskiego układu? Jeżeli tak, to skorzystalibyśmy na dzień 8 maja b. r. — **Wład. Soból** w L.: Prenumerata nadeszła. Żądaną książkę wysłaliśmy. Cześć! — **A. Wagnerówna** z Sz.: Za życzliwość wyrażoną w liście dziękujemy. Zwaliła się nam teraz praca jak po Nowym Roku i może później to liścikiem odpowiemy. Maciek się ucieszył posadą pierwszego drużby dla Pani. Załączamy pozdrowienia. — **Z. Adamarczuk** w Z.: „Rolę" do współdzielni „Rolnik" wysłaliśmy w ilości 3 egz. i nadal wysyłać będziemy, prosimy dać nam znać. Zygmunt bije tylko w ważniejsze święta i dnie uroczyste. Wzajemnie serdecznie pozdrawiamy. Cześć! — **Katarzyna Groń** z S.: Może Pani w kiepskiej kopercie pieniądze wysłała i poczta zwróciła. A kto Pani tak doradził, że na czek lub przekaz nie wolno więcej wysyłać tylko 6 zł. Czekiem może Pani wysłać ile Pani chce, a przytem żadnych opłat się nie ponosi. Kalendarzy już nie mamy. Cześć! — **Władysław Rusek** z K.: Owszem, prosimy, pogadamy sobie trochę. „Rolę" powinien prenumerować wójt, a przedewszystkiem pani wójtowa. Dziękujemy za przysługę i wzajemnie pozdrawiamy. — **Jerzy Strządała** w Z.: Posłaliśmy wszystkie numera z czekiem, dziękujemy. — **Wład. Ciuła** w K. P.: Numera wysłaliśmy z czekiem pod wskazanym adresem — dziękujemy i polecamy się nadal. — **Józef Morys** z C.: Otrzymaliśmy, dziękujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył „Yoga" z K.).

■	☆	☆	☆	☆	■	Imię żeńskie.
☆	■	☆	☆	■	☆	Stary dom
■	☆	☆	☆	☆	■	Narzekanie.
☆	■	☆	☆	■	☆	Wspak zapał w granacie
■	☆	☆	☆	☆	■	Wspak rzeka w Europie
☆	■	☆	☆	■	☆	Książka. [w 2 przyp.
■	☆	☆	☆	☆	■	Pokój w obcym języku
☆	■	☆	☆	■	☆	Dozorca rolników.
■	☆	☆	☆	☆	■	Wspak miasto we Włoszech.
☆	■	☆	☆	☆	■	Rodzaj straży.
■	☆	☆	☆	☆	■	Robak.
☆	■	☆	☆	■	☆	Część domu.
■	☆	☆	☆	☆	■	Imię męskie.

Litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół dadzą dwa imiona i nazwiska sławnych malarzy polskich.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Patulski z O.)

I.

Pierwsze trzecie rosną w lesie,
Drugie trzecie żyją w wodzie,
Pół pierwszej druga Moskale
Krzyczeli kiedyś na wojnie.
Całość choć się w ziemi rodzi,
Czasem kwasi, zwykle słodzi.

II.

Pierwsza trzecia wyraz włoski
lub też nazwa czasu,
Druga trzecia jest na drzewach
wśród całego lasu.
Całość cnota bardzo ładna
cudna wśród hałasu.

III.

(Ułożył Wł. Marko).

Pierwsze piąte czarownice
Do swych sztuczek używają,
Snopki znoszą robotnice
Gdy pierwszych trzecich nie mają,
Pierwszemu drugiemu grochy zbierają
A później w sąsieki składają,
Niepotrzebna wtedy piąta czwarta,
Gdyż jest wtedy mało warta,
Więc gdy całość wiedzieć chcecie,
Codzień mieści się w gazecie.

3. Układanka.

(Ułożyła Mila Ko-czyńska).

Niżej podane litery wpisać tak w pola kwadratu, aby utworzyły pięć wyrazów równobrzmiących pionowo i poziomo.

a, a, a, a, a, a, b, e, e, k, k, k, k
n, o, o, o, o, o, r, r, r, w, w.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko czytane w „Roli". 1. Podwórze. 3. Potrzebne na zboże. 4. Miejsce dla atletów. 5. Rodzaj kawy.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

D. Toratyk.

N. Dyprezet.

Ł. Keszmara.

T. Niemir.

N. Setora.

A. Dejowow.

L. Nusok.

E. Łops.

O. Rasastt.

R. Zbimurst.

Z liter zawartych w powyższych biletach wizytowych ułożyć stanowiska tych ludzi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 2 „Roli": Logogryf: Władysław Nowak (zmarł 6 b. m. o czem pisaliśmy w poprzednim numerze „Roli"). 2. Szarady: Liga Narodów. Panorama. 3. Zagadki: Cień, ślimak, kawa. Dwójnoga: szewc. Trójnoga: stołek. Czwórnoga: pies. 5 .Przestawianki: a) Ara, Sas, rab, bar, arab, Sara, rasa, bas, Saba, as, ar, b) Łakomy dwa razy traci, c) Cicha woda brzegi rwie.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Jan Czader z S., Józef Topolski z B., Józef Kubik z K., Henryk Biłka-Głębicki z S. (wierszem), Piotr Wenc z S., Aleksander Gwóźdź z L. i J. Kapuściński z L. (wierszem).

Nagrody wylosowali pp.: Józef Topolski z B. i Aleksander Gwóźdź z L.

Wydawca: Feliks Kowalczyk Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Może to i prawda.

— Czy macie dobrych lekarzy w Chinach? — zapytał podróżnik posługacza-krajowca.

— O tak! — odparł tenże. Bardzo, bardzo dobre doktory. Najlepszy to doktor Han-Kwan. On uratował życie mojemu dawnemu panu.

— Jakże to było?

— Pan był chory, pobiegłem do doktora San-Singa. On dał lekarstwo, pan jeszcze bardziej chory. Pobiegłem do lekarza Czun-Czanga. On dał lekarstwo. Pan jeszcze bardziej chory. Pobiegłem do doktora Han-Kana. On nie miał czasu i nie przyszedł wcale. Po trzech dniach, pan zdrów jak ryba. Wielki to doktor ten Han-Kan!...



Mądry pies.

Dwaj myśliwi rozmawiali o psach swoich.

— Mój Burek — zapewniał jeden — to pies niesłychany. G dyrzucę pieniądz do rzeki, nurkuje tak długo, póki nie przyniesie monety na wierzch.

— To nic! — odparł drugi. Moja Pietruszka bierze w pysk banknot, nurkuje, potem zaś wraca z dwoma kilogramami karpi i resztę w brzęczącej monecie.

Amerykańska miłość.

— Drogi Wilu, — powiada miljonerka amerykańska do narzeczonego — ludzie mówią, że bierzesz mnie tylko dla pieniędzy.

— Niechże sobie mówią. Cóż nas to obchodzi?

— Nie dopuszczę do tego! Podaruję cały posag Towarzystwu Misyjnemu.

Na te słowa wstał narzeczony i skierował się do drzwi.

— Gdzie idziesz? — pyta narzeczona.

— Chcę zostać misjonarzem.



Dobry sposób.

Pewien jegomość szedł sobie w ciemną noc do domu, gdy nagle zbliżył się doń podejrzanie wyglądający obdartus, pytając, która godzina.

Nie wiele myśląc, wymierzył mu ów jegomość tęgi policzek i rzekł:

— Bije pierwsza!

Obdartus uciekł, mrucząc do siebie:

— Całe szczęście, żem go nie spytał o godzinę wcześniej!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 13 stycznia b. r.

Pszenica .	51·00—52·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna na- sienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień .	38·00—39·00	Otręby żytnie	28·00—29·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka żytnia	60·00—62·00
Fasola biała	44·00—46·00	Mąka pszen.	82·50—81·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Otręby pszen.	22·00—22·50
Siano słodk.	11·00 - 12·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy